CENA ZŁ 20
CZYTELNIK

SOPOT
ul.Czerwonej Armii 101
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

CZYTELNIK

Cichowski, Kipta, Kretowicz, Wryczan, Zelenay

Odra
tygodnik

WROCŁAW
KATOWICE

NUMER 15 (177) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 1 MAJA 1949 ROKU ROK V

Najmłodszy przodownik

Z postawy i wzrostu wcale nie żaden Herkules. Właściwie to całkiem na odwrót. Szczupły i prawie drobny chłopak. Ręce tylko duże, robotnicze, chciałoby się rzec: symboliczne — one jedne starają się nas przekonać, że to prawda, że Jan Kolasa — ładowacz na kopalni „Eminencja“ — jest przodownikiem pracy. Reszta postaci prawdę tę skrupulatnie ukrywa.

Pomyślałem, że od opisu tej sylwetki Nałkowska powinna zacząć nowy cykl swoich „Charakterów“.

Miał pojechać do Paryża na Światowy Kongres Obrońców Pokoju. Był przewidziany. Ograniczona przez rząd francuski ilość wiz wjazdowych dla delegatów zagranicznych przeszkodziła młodemu ładowaczowi w wyjeździe do Paryża. Jako integralna część Kongresu Paryskiego potraktowany został Kongres w Pradze. Zamiast do Paryża, wyjechał Kolasa do Pragi. W chwili obecnej dzienniki już podały wiedomość, że młody przodownik z kopalni „Eminencja“ przemawiał na sobotniej sesji Kongresu Praskiego.

W wyobraźni widzę go przemawiającego. Widok ten kojarzę z widokiem siedzącego naprzeciwko mnie rozmówcy. Jakże wymowne są — już nie usta i oczy, ale ręce, robotnicze ręce. Mówią o polskim trudzie, o pracy, która Polskę z gruzów podnosi. O pracy, która stwarza szczęście i dobrobyt. O pracy w pokoju i dla pokoju. Nie mogę znać dokładnie jego myśli, ale zgaduję nastroje, gdy raz po raz oczy jego błyszczące spotykam. Myślę przy tym, że pewno wzbudzi na Kongresie zainteresowanie taki młodociany przodownik.

Na moją prośbę mówi o sobie. Nie wiele tego. Cóż, praca, a nie awantury wypełniały i wypełniają nieustannie jego pożyteczne dni. Czas liczy się na dniówki.

Przodownik Jan Kolasa jest repatriantem z Belgii. Urodził się dnia 11 kwietnia 1930 roku w miejscowości Mons. Rodzice Janka wyemigrowali do Belgii jeszcze w latach dwudziestych. Ojciec — dziś już nie żyjący — pochodził z Czeladzi, matka — z Myszkowa.

Na kopalni pracuje od czternastego roku życia. Opowiada, w jak ciężkich warunkach musiał pracować w Belgii. Pokłady w belgijskich kopalniach są bardzo niskie, nie takie, jak u nas.

Przyjechawszy z transportem repatrianckim po wojnie do Polski, od razu zaczął pracować na kopalni „Eminencja“. Zarabia na siebie i na swoją matkę. Na kopalni czuje się jak w domu.

Chwali sobie bardzo pracę ze Ślązakami, z którymi zdążył zżyć się i zbratać w twardym trudzie.

— Nie ma jak Ślązak do pracy — podkreśla końcowym stwierdzeniem jak czerwoną kreską swój wartościowy sąd.
(w)

Perspektywa Odry

Jedność i sojusz robotników i chłopów, według słów Prezydenta Bieruta wypowiedzianych na Trzecim Krajowym Zjeździe Związku Samopomocy Chłopskiej, to najtrwalszy fundament władzy ludu pracującego Polski, podstawa siły i rozkwitu naszej Ojczyzny. Odpowiedzialność za losy narodu w obecnej rzeczywistości wziął na swe barki zorganizowany robotnik i chłop, związani mocnym sojuszem przyjaźni i spółdziałania. Obie te klasy cechuje wspólny los przeszłości, pełen trudów i niedoli i wyzysku, wspólna walka o byt, o umocnienie ustroju i zachowanie władzy w teraźniejszości i wspólne marzenie o szklanych domach przyszłości.

Obie klasy pracujące stają dziś przed rojem zadań które wydają się wyglądać na przekraczające siły jednego pokolenia. Byliśmy przecież do czasu wojny jednym wielkim prymitywem metod gospodarowania. Nie mieliśmy dostatecznej ilości szkół, szpitali, urządzeń socjalnych. Rolnictwo nasze było rezerwatem przestarzałych metod pracy, marnotrawstwa, nieznajomości zasad nowoczesnego gospodarowania i nauki rolniczej. Posuwaliśmy się w pauperyzacji wsi po równi pochyłej i staliśmy pośród narodów cywilizowanych świata co do zamożności, stopy życiowej, wydajności pracy, na szarym końcu.

Wojna poza tym cofnęła nas o dalsze mile i lata w naszym pochodzie naprzód. Spadek, który więc objęła Demokracja Ludowa, nie jest wesoły i zachęcający.

Do pracy nad odbudową i rozbudową naszego życia stanął czynnik, jakiego w ciągu dziejów nigdy przy kierownictwie państwa nie widzieliśmy — lud pracujący wsi i miast.

Jeśli pada hasło współzawodnictwa pracy, podejmują je miliony. O akcji celowego oszczędzania mówi się nie tylko na konferencjach ministerialnych, ale także w każdym najskromniejszym nawet warsztacie pracy, na tysiącach narad wytwórczych, na tysiącach zebrań załogowych itd. Rzucono hasło akcji walki z analfabetyzmem, to hasło podejmowane jest jednocześnie w tysiącach komórek organizacyjnych. Za powodzenie akcji „H“ czują się odpowiedzialnymi nie tylko rząd i władze, ale setki organizacji i instytucji w terenie oraz miliony indywidualnych gospodarstw. Wszyscy poświęcają temu zagadnieniu jak najwięcej uwagi i pracy.

Mówi się o sojuszu robotniczo-chłopskim. Nie jest to bynajmniej hasło od święta. Każda fabryka i każdy zakład pracy w chwilach wolnych od pracy opiekuje się jakąś wsią, przychodzi jej z pomocą w wyremontowaniu maszyn rolniczych, traktorów, siewników, w orce i akcji siewnej. Jest to najbardziej widoczny dowód nie tylko sojuszu ale i braterstwa tych dwóch grup społecznych.

Maszyny i nawozy sztuczne to dzieło robotników. Polski człowiek pracy pozbawiony jest pierwiastków egoizmu. Myśli on nie tylko o własnym kawałku chleba, ale również o kowałku chleba dla innych. Robotnik poczuwa się do odpowiedzialności za zaspokojenie głodu towarów i maszyn całego społeczeństwa. Dlatego też pada hasło „szybciej, taniej i lepiej“, hasło przedterminowego wykonania trzyletniego planu i przygotowania się jak najbardziej skrupulatnie do gigantycznego planu sześcioletniego.

Chłop poczuwa się do odpowiedzialności za nakarmienie robotnika i mieszkańca miast, za dostarczenie przemysłowi roślin przemysłowych, buraków cukrowych, lnu, konopi, rzepaku itd. Kontraktacja w ramach akcji „H“ tak pięknie się rozwijająca jest najlepszym dowodem poczucia tej odpowiedzialności ze strony naszego chłopa.

Wszystko to świadczy, że sojusz miast i wsi, robotnika i chłopa, to nie frazes od święta lecz istotna treść naszego życia polityczno-społecznego.

Nie będziemy się przeto dziwili, że obok czerwieni sztandarów robotniczych w dniu 1 Maja zobaczymy na ulicach miast i wsi także dumnie powiewającą zieleń sztandarów chłopskich. Razem przecież maszerują robotnicy i chłopi do ustroju, który przyniesie nam szklane domy. (K.)

„Myby też chcieli czytać „Odrę“, bo nas interesuje wszystko co robią Niemcy i bardzo nam się podobały ilustracje tych, którzy mieli kopalnie i którzy mają . . . „Odra“ jest droga i mało w niej teraz o nas piszą. W żadnych książkach tego też nie widać. Ta książka o Pstrowskim (mowa zapewne o „Żywocie kilofem wykutym“ — dop. red.) mi się nie podobała. A zaś Morcinek, którego dużo czytałem, za lekko sobie to bierze, u niego wszyscy się śmieją a tak też nie jest. Chcemy żeby coś było o nas w książkach ale inaczej. Pisałem „Pamiętnik górnika“ na konkurs naszego Związku i jakby te pamiętniki się przerobiło, to by była dobra książka i prawdziwa. Szkoda, że ich nie pokazują . . . (Już są w druku — dopisek redakcji)

(Z listu górnika Gerharda Kwoczka z Gliwic.)

ANTONI SYLWESTER

Rachunek radości

Jeśli ważny jest rachunek trudu, to niemniej ważny jest rachunek radości. Jeśli ważna jest praca, to również ważny jest odpoczynek. Każdy medal posiada 2 strony. W tym artykule przyglądnijmy się drugiej stronie medalu.

Leży przede mną jednodniówka pt. Pamiętnik akcji letniej Referatu Społecznego „Wspólnoty Interesów“ S. A. za rok 1938. Jednodniówka, wydana na pięknym kredowym papierze koloru kości słoniowej, liczy 82 strony formatu „Problemów“.

Pamiętnik jest doskonałą lekturą dla wszystkich, którzy są niezmordowani w przypinaniu czerwonych łatek obecnemu ustrojowi i zawsze szukają dziury w całym. Oczywiście może być taką lekturą dla tych, którzy umieją logicznie myśleć i wysnuwać z przesłanek logiczne wnioski. Niestety, najczęściej tak nie jest.

Aby zrozumieć wymowę cyfr, jakie wnet przytoczę muszę przypomnieć, co to była „Wspólnota Interesów“. Należały więc do niej huty: „Batory“, „Florian“, „Laura“, „Kościuszko“, „Zygmunt“, „Silesia“, „Zgoda“, stalownia „Batory“, kilka warsztatów przetwórczych, fabryka Fitznera, koksownia „Łagiewniki“ oraz kopalnie: „Dębieńsko“, „Katowice“, „Łagiewniki“, „Mysłowice“, „Siemianowice“ oraz kilka kopalń rudy.

Więc prawie cały przemysł hutniczy Śląska i poważna część przemysłu węglowego oraz kilka zakładów przetwórczych.

„Wspólnota Interesów“ przedstawiała więc wartość miliardów przedwojennych złotych i obracała zapewne także miliardami. Dyrektorów swoich opłacała ta „Wspólnota Interesów“ za to, że pilnowali gorliwie jej interesów, to znaczy podwyższali ceny towarów, gdy rynek był chłonny, a wyrzucali z pracy robotników, gdy rynek osłabł bardzo hojnie. Pensje niektórych sięgały 30.000, a nawet 60.000 złotych za co można było wystawić luksusową willę — w obecnej walucie wyniosło by to 3 — 6 milionów złotych.

Dla zamydlenia oczu robotnikom, że „Wspólnota“ dba o ich zdrowie i przyjemności, powołano do życia Referat Społeczny, który miał organizować dla pracowników swych blisko 20 zakładów przemysłowych, kolonie, obozy i wycieczki.

We wspomnianym na wstępie „Pamiętniku“ mamy zobrazowany efekt wysiłków „Referatu“.

Otóż w czterech wycieczkach wzięło udział 1.457 osób. Wycieczka nie była broń Boże bezpłatna. Trzeba było wpłacić 85,— zł co przeliczone na obecne złote w stosunku 1:100 wyniosłoby 8.500 zł. Dla większości robotników zatrudnionych w zakładach pracy „Wspólnoty“ było to więcej niż połowa miesięcznego zarobku. Obecnie płaci uczestnik „Wczasów“ za czternastodniowy pobyt 1.400 zł, co stanowi od 5 do 10 procent jego zarobku.

Nie mogę więc zrozumieć zdziwienia referatu społecznego „Wspólnoty“, który pisze o tym tak:

„Pomimo to istnieje tu pewna plama, której nie myślimy wstydliwie zakrywać. Oto wycieczka cała była pomyślana pod kątem urlopowych wczasów robotników, a tymczasem stanowili oni wraz z rodzinami tylko 30 proc. uczestników, chociaż w zakładach rozplakatowano afisze o wycieczce, chociaż prospekt wycieczki rozpowszechniono w ilości, odpowiadającej 15 procent załogi, chociaż pomiędzy pierwszą, a drugą wycieczką zorganizowano 10 pogadanek propagandowych wraz z wyświetlaniem filmu z wycieczki, można się dopatrywać przyczyny tego w zbyt późnym ogłoszeniu imprezy i może zbyt mało aktywnym stosunku do akcji werbunkowej odpowiednich organów niektórych zakładów pracy, ale to najwyżej połowa winy. Bezwzględnie drugą połową winy jest obojętność ogółu na kwestię odpoczynku w czasie urlopu i rozszerzenia swego światopoglądu. A przecież nic tak nie kształci jak wycieczki, na których wiele zjawisk nie tylko obserwuje się bezpośrednio, ale poprostu przeżywa i wskutek tego najistotniej przyswaja. Biorąc pod uwagę, że w rodzinie pracownika są przeciętnie 3 osoby, które powinny skorzystać z wycieczki, dochodzimy do wniosku, że w rodzinach górników pracujęcych w W. I. uczyniło to o 3 proc. wśród hutników 1,1 proc., wśród przetwórców 0,6 proc. Fakt ten musi głęboko wryć się w pamięci uczestników wycieczki, jak również tych wszystkich, od współudziały których zależy poprawa tego stanu w roku przyszłym, a każda światła jednostka, ożywiona dobrą wolą może tu dużo zrobić przez promieniowanie na otoczenie.

Na przyszły rok powinno być naszym wspólnym hasłem: urlop na wycieczkach po Polsce musi spędzić przynajmniej 5 proc. pracowników W. I. i członków ich rodzin“.

Szanowny referent zapomniał w swoich rozważaniach o owych 85,— zł. Gdyby istniała „obojętność ogółu na kwestię odpoczynku“ jak piszę, to byłaby i teraz, a tymczasem teraz jej nie ma skoro dziesiątki tysięcy robotników z tych wczasów korzysta. „Promieniowanie na otoczenie“ jakie referent zalecał, nie było właściwym środkiem upowszechnienia wczasów. Na ten cel dała „Wspólnota Interesów“ aż 20.000,— zł czyli tyle co na przeciętną pensję miesięczną jednego dyrektora.

Na obozy i letniska wyjechało w ciągu całego roku 1938, 1600 osób, ale znów tylko 0,8 proc. pracowników fizycznych zostało objętych tą akcją.

Na urządzenie obozów w Chłapowie dał Zarząd „Wspólnoty“ 40.000 zł, czyli tyle ile na dwie pensje lepiej płatnych dyrektorów.

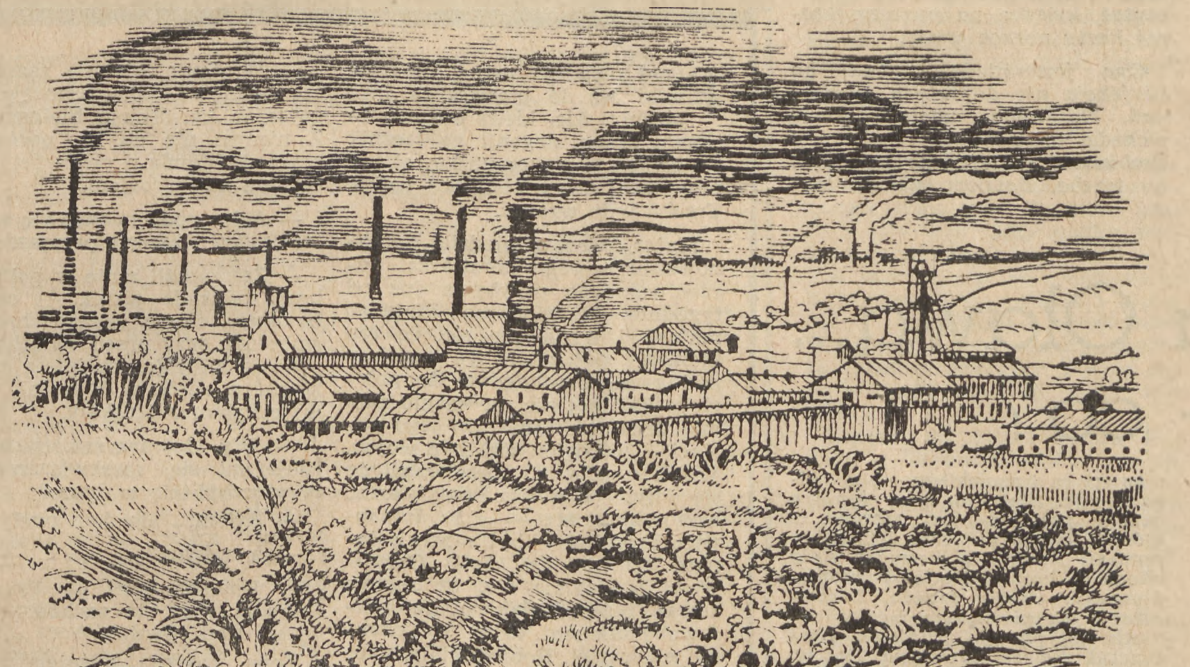

Paweł Steller — Fragment Katowic

Wreszcie kolonie dziecięce. Na te kolonie wyjechało w roku 1935 200 dzieci. W roku 1936 — 400, w roku 1937 — 600, a w roku 1938 — 1000 dzieci (dokładnie 989). Referent pisze o tym z wielką dumą. Przypuszczam, że jego radość była całkiem szczera. Może byłby doprowadził w roku 1939 do 1200 dzieci, a gdyby się sprawa rozwijała dalej w tym samym tempie to wszystkie 32.000 dzieci pracowników „Wspólnoty Interesów“ byłyby pojechały na wczasy w roku 2100 (dokładnie 2093), pod warunkiem, że nie byłoby żadnego przyrostu naturalnego. Czy kto się dziwi? Wszak „Wspólnota Interesów“ nie była Wspólnotą Interesów ludzi pracy, lecz akcjonariuszy.

Kolonie dziecięce „W. I.“ nie były bezpłatne. Ojciec dopłacał do każdego dziecka od 30 do 40 zł (więc obecnych złotych od 3 do 4.000 zł). Czy się wobec tego należy dziwić, że wpłynęło tylko 1.300 zgłoszeń.

Na „Kolonie dziecięce“ wyasygnował Zarząd „Wspólnoty“ również pewną kwotę (55.000,— zł) czyli tyle co miesięczne pobory jednego z naczelnych dyrektorów.

To wszystko było lat 18 po odrodzeniu Polski.

Lektura „Pamiętnika“ zaintrygowała mnie tak mocno, że natychmiast zatelefonowałem do Referatów Socjalnych kilku zakładów pracy, które przed wojną należały do „Wspólnoty Interesów“, aby się dowiedzieć, jak to jest teraz trzy lata (1948) po drugim odrodzeniu Polski pod rządami Polski Ludowej.

Huta „Kościuszko“:		
wczasy pracownicze	888	osób
kolonie letnie dzieci	294	„
półkolonie dzieci	800	„
Huta „Batory“:		
wczasy pracownicze	1.679	osób
kolonie letnie dzieci	1.063	„
półkolonie własne	448	„
półkolonie obce	278	„
Huta „Zgoda“:		
wczasy pracownicze	366	osób
kolonie letnie dzieci	350	„
półkolonie	327	„
Huta „Baildon“:		
wczasy pracownicze	586	osób
kolonie letnie dzieci	350	„
półkolonie letnie dzieci	521	„
prewentoria	147	„

Oraz wczasy świąteczne 5198 osób.

A więc te 4 zakłady pracy wysłały na swój koszt 3519 pracowników oraz 4870 dzieci na wczasy (wczasów świątecznych Huty „Baildon“ nie liczę). Gdyby wziąć owe przeszło 20 zakładów pracy dawniej „Wspólnoty Interesów“ należałoby liczby te co najmniej uczterokrotnić, co by się wyraziło cyfrą okrągłą 15.000 pracowników i około 20.000 dzieci.

Oto są liczby radosne. Jakżeż biednie wobec nich wyglądają owe liczby z roku 1938 — 1600 pracowników i 989 dzieci.

Dziś wysłanie przez jeden zakład pracy takich ilości pracowników i ich dzieci jest rzeczą zwyczajną i samą przez się zrozumiałą.

Wywołuje raczej niezadowolenie, że nie można było wysłać całej załogi na wczasy oraz wszystkich ich dzieci na kolonie letnie.

Ale idziemy w tym kierunku bardzo szybkimi krokami. W roku 1946, a więc w pierwszym roku po wojnie wysłano w Polsce na wczasy 750.000 dzieci, w r. 1947 — 784.207 dzieci, w r. 1948 — 932.270 dzieci, w roku 1949 przekroczymy milion. Milion, to przeszło 4 proc. całej ludności Polski.

To, co kapitaliści „Wspólnoty Interesów“, „Lewiatana“ i innych koncernów w Polsce pozwolili by osiągnąć w roku 2.100, osiągniemy na pewno w roku 1955. W roku 1939, 20 lat po pierwszym odrodzeniu Polski statystyka byłaby zapisała w rubryce „Kolonie letnie“ jakiś ułamek procentu, w roku 1955 10 lat po drugim odrodzeniu, w Polsce Ludowej napiszemy w tej rubryce okrągłe 100 procecnt.

Socjalizm nie ogranicza się do haseł — od chwili, gdy ma w ręku władzę, te hasła urzeczywistnia.

ANTONI SYLWESTER

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

Statystyka

Mądry jest ład obliczeń, gdy rządzi chórem życie,
wiąż cyfry w setki kolumn, na których dach postawisz —
to człowiek się wylicza ze swych człowieczych zwycięstw,
dzierżący w garściach triumf a niepodległy sławie.

Na naszej statystyce złociste rosną kłosy,
gdy wiatr przewraca karty sytego dojrzewania,
sprawdzamy cyfr urodzaj, jak żniwiarz sprawdza kosę,
nim ruszy w złotą pracę na pole o świtaniu.

Przez naszą statystykę przepływa rzeka stali,
posłuszna sercu planu i wierna naszym rękom,
gdy dymy z fabryk obwieszczą sens metalu
śpiewamy odpoczynek: uczciwą swą piosenkę.

Orzą zielony Bałtyk żylaste rudowęglowce —
aż ciasno w gwarnych portach od kolorowych bander,
już pachnie chleb jutrzejszy od tłustych gleb Mazowsza —
przez wieś runęła światłem żarówek awangarda.

Ziemię mierzymy traktorem, niebo mierzymy śmigłem,
robota śpiewa nam w rękach, muzyka rośnie w maszynach —
oto, gdy nowa godzina nad nami bije skrzydłem
bierzemy pracę w ramiona, jak uśmiechniętą dziewczynę.

JAN KOPROWSKI

Pieśń o traktorze

To nie był taki zwykły traktor
którym się orze ziemię gładką.
Ten traktor wiecznie z tobą gadał
o ziemi ojca, ziemi dziada.
Dla ciebie chłopcze był ten traktor
ojcem co zginął, umarłą matką.
I siostrą był i bratem starszym
który uważnie na ciebie patrzy.

Gdyś wszedł na traktor jak na konia
okrakiem — traktor huczał, dzwonił.
Motor się cały trząsł od śmiechu
aż szło przez pola jego echo.
A tyś go siedząc jak konia głaskał.
A on się wzdraga, jak koń parska
i przecinając pole wpoprzek
orze wytrwale — orze dobrze.

O wschodzie słońca pierwsi w polu.

Traktor sunie jak wół powoli.
A kiedy dobrze się rozhuczy
gruchnie w czarnoziem, grudy roztłucze.
Motor jak pies uparcie warczy
głosem chrapliwym, prawie starczym.
Lecz płuca młode, młody lemiesz
przeorze słońce, zbroczy ziemię
użyźniając zagonów piersi.
Bukiety traw — bukiety sierści.
sypną się w górę, w niebo wystrzelą.
A kurz nad nimi — weselny welon.

Ty na traktorze jak na koniu.
A koń się zerwał — w pola poniósł.
I kraje ziemię bez pamięci.
I nie sapie i nie jęczy.
Strugi potu nie płyną szczodrze
po jego grzbiecie. Ty myślisz: dobrze
i klepnąć pragniesz i za grzywę
pociągnąć jakby to był siwek.

A to jest traktor. Mechaniczny.
Bury jak deresz. Na nim licznik.
Żebyś wiedział ile hektarów
zaorze przez dzień ten twój staruch.
Owsa nie je a ciągle parska.
Tylko benzyna, oliwy garstka
wystarczą, żeby piął się górą
po ziemi czarnej podobnej chmurom.

Jesteś najlepszym traktorzystą
w powiecie. Ale to nie wszystko.
Bo jeszcze kiedyś w województwie
twój traktor pierwszy zaszumi hucznie.
A potem kiedyś w naszym kraju
swoim traktorem jak buhajem
jako najlepszy traktorzysta
wyorzesz Polskę w ziemi i glistach.

A traktor — bydlę po prostu żywe
zarży radośnie — czuły siwek.
I śmiechem cały się zatrzęsie
i już się rwie i znowu niesie
w pola. Wywala skiby, mlaska
nad ziemią chłopa pierwszego — Piasta.
Nad ziemią dziada, pradziada, ojca.

A ziemia swoja, bliska, nieobca
odpowie dreszczem jak mleko w piersi
gdy się do piersi garną dzieci.

O twym traktorze traktorzysto
była ta pieśń. Było to wszystko.

KRYSTYNA WRYCZAN

Diderot

i kuzynek mistrza Rameau

Szkic fantastyczny

MOTTO:
„Dziwne jest to życie pomylone.
To co lewe, w prawą dąży stronę.
To co czarne, białym być się sili.
Krok koniecznie chce być równym mili!"

CZĘŚĆ I.

JAK DIDEROT NAPISAŁ ARCYDZIEŁO

Odkąd filozof Diderot, siedząc na ławce placu Palais Royal, zawarł znajomość z Janem Rameau, podupadłym krewnym znakomitego kompozytora, dziwny zamęt nastąpił w jego rozumie. Strzępy myśli którym zabrakło pamięciowych powiązań, zaczęły się tłoczyć pod czaszką jak rozbitki, a umysł stał się niezdolnym do codziennych praktycznych funkcji.

Filozof wstrzymał bieg spraw życiowych, płaskich z wytartym wczoraj, obojętnych na przekreślone jutro. W próżni, gdzie wszystko utraciło swój gatunkowy ciężar, myśli suną goniąc pierzchający kształt.

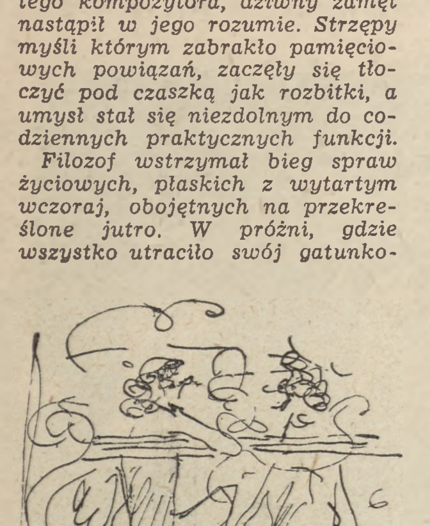

Szuka dla nich Diderot uziemnienia i pyta siebie kiedy był dzień może wiek — może epoka — gdy to umieścił się na ławce włóczęga w łachmanach, cuchnących rybą i szlamem zgniłych wodorostów, z mętnym spojrzeniem zatęchłych wód.

Było to niegdyś. On nie pamiętał kiedy to było.

— — — — — — —

Diderot zaczął pisać.

Na skutek rażonej pamięci stanął wobec swego przedsięwzięcia świeży umysłem jak noworodek i tak jak on, prastary biologicznymi nawarstwieniami.

Do arcydzieł XVIII wieku zaliczono książkę tę przez nieporozumienie. Nie uwzględniono, że czas się skurczył w rażonej pamięci i wydzielił rękopis bez chronologicznej genezy, istniejący niewiadomo od kiedy, pochodzący niewiadomo skąd, i niewiadomo od kogo. Autor bowiem, wraz z upadkiem pamięci, zatracił poczucie swej identyczności, wygnany w sferę dusz nienarodzonych lub przedwcześnie zmarłych. Dzieło to zatytułował znakomitym imieniem żyjącego w XVIII wieku kompozytora: „Kuzynek Mistrza Rameau"; i to widocznie wpłynęło na mylne zaklasyfikowanie utworu jako należącego do literatury danej epoki.

Diderot ręką przesuwa po czole wysilając swą niepamięć. Przenika go lepka wilgoć, w nos uderza odrażający rybi swąd.

Śni on czy przypomina?...

Było to na skalistym cyplu, o świcie... czy o zmierzchu... W dole bulgotała powierzchnia dyluwialnego bagna, nurt wytrysnął i rozlazł się w oceanie. Na widnokręgu wypłynęło świetliste monstrum zagłady. Rośnie, coraz bliższe, coraz bardziej oślepiające.

Aaa!... plamę krwi zmyła wielka struga wód.

I nadal wschodziły i zachodziły świetliste kształty błyszcząc oczami lub przezroczystą błoną płetw. A gdy zsunął się w praocean ten co był Diderotem, pozostał od niego a raczej tylko po nim, dokument niezwykłych zdarzeń.

Zwój papieru płynie na wodach, jak liść na stawie, a rozmarzony czytelnik, co go zgarnia miękką dłonią, trzyma starszy od czasu twór i ręka jego drży.

— — — — — — —

Denis Diderot — Jan Rameau. Było to niegdyś; nikt nie pamięta kiedy to było. Szukamy śladów zaginionych kroków ,słuchamy rojowiska idei, którymi szumiało stulecie: wiek XVIII.

Sensualizm, materializm, sentymentalizm. Cieniami rysują się sylwety byłych ludzi, rozpierają się po fotelach ministerialnych, tryskają życiem, zdrowiem, weselem.

„A może życie samo jest niezdrowiem, zachorzeniem pierwotnej protoplazmy, potworną naroślą na jej przezroczej materii?

Natura, doświadczenie, zmysły — uderza w takt kultura, władczyni epoki. Z wyniosłym czołem bogini, tam pod plafonem w stylu Boucher, dyryguje ona orkiestrą, gdzie wszystkie znane kierunki filozoficzne grają wespół. Diderot, reprezentant epoki, zasłuchany w kakofonii. I gdy tak oto przewraca bielmem zaszłe jak u pisklęcia ślepia, czuły jego słuch chwyta rechot żabiej kapeli, a nogi ciążą jak kłody oblepione mułem, co wiekami wypełniał dół rodzimego bagna.

W kręgu wpływu Rameau, to się zatraca, to się odzyskuje jego pamięć, rwąc się lub przedłużając ponad zwykłą miarę.

Natura, doświadczenie, zmysły —trójrytmem uderza bogini; materializm, empiryzm, sensualizm. W arteriach krwistego męża doktryny zabiły pulsem życia: przestając być ogólną zasadą filozoficzną, stały się jego własną prawdą; przestając być jego własną prawdą, są biologicznym faktem.

Wahadło czasu wybija narodziny i zgony, podnosząc się w górę i spadając w dół. To iryzuje ono misteryjnym kiełkowaniem jako nieskończenie drobne, to opada kaskadą, w blasku, huku i łomocie, jako nieskończenie okazałe. Myśl porwana na wstęgę trwania zwaliła się w porządek biologiczny, pchnięta abstrakcja zstąpiła ze swych chłodnych wyżyn, zaczęła żyć i umierać.

Pod chmurami rozlega się kaskady spad.

Szszsa — ściszają się limby misterium erekcji.

— „Skończyło się panowanie matematyki, a rozpoczęło się panowanie przyrodoznawstwa" — oznajmia zgromadzonym słuchaczom ówczesny prelegent, znakomity Denis Diderot.

Od matematyki do przyrodoznawstwa — skok karkołomny. Karkołomnym również jest skok, gdy w poszczególnym bycie przyrodoznawstwo przeszło w przyrodę. Drgnęła, poruszyła się, zawirowała ciężka masywność materii. W jej kłębie, co rwie we wszystkich kierunkach, staje się ona płynną, lotną, a-materialną prawie. — To nie nowa koncepcja, to nowa rzeczywistość.

Na tym pograniczu dematerializacji materii, łatwym jest już przejście z porządku fizycznego w moralny, z postawy stwierdzającej w postawę oceniającą. Lecz tu okazuje się że ciągle zmienna, ruchoma rzeczywistość wymyka się wszelkiej ocenie. Natura dla Diderota nie może być ani „dobra" ani „zła"; ani „piękna", ani „brzydka", nie ma w niej bowiem żadnej stałości i nie nadąży za nią najsubtelniejsza, najbardziej elastyczna definicja.

Stąd to materializm nie wyklucza fantastyki i ocknęli się ramię przy ramieniu, na ławce placu Palais Royal, filozof-materialista i Rameau, kaprys natury; przeklęcie z nią związany, niedonoszony jej twór, embrion tkwiący w tajemnej fazie rozwoju.

To chudy, to tłusty, wyłania się on z biologicznej plazmy i znów w niej zatapia; jak ognik błędny błyśnie iskrą fosforyczną i gaśnie szary i nikły jak proch. Wzniosłym i podłym, szalonym i pełnym zdrowego rozsądku — takim się objawia filozofowi.

Myśl jego poznawcza łamie się i wstrząsa. Lecz nie wynika to tylko z natury świadomości. Bowiem proces kiełkowania jest niemniej pełen dramatyzmu, a bytowe czy raczej przedbytowe wysiłki mieniącej się duszy małego kuzynka przerywane są histerycznymi drgawkami plazmy. Z tą djabelską, wybuchową, nieprawdopodobną substancją, nie poradziła by sobie świadomość, gdyby nawet była bardziej stateczna. Trudność piętrzy się więc dwukrotnie i nie dochodzi do równowagi rozkołysanie bytu i poznania: Rameau chce się stać, Diderot chce go zrozumieć. Odbijają się naprzeciw siebie wzajemnie, jak zwierciadło przed zwierciadłem, a powstający stąd korytarz nie ma końca.

Dialog tych dwu, ostry jak świst, nie był więc dyskusją akademicką. Oni sobie nie od-powiadają, lecz do-powiadają, a porozumienie ich toczy się w pobłyskach myśli, co jak pyły muskają w przelocie rzeczy ważne — najważniejsze.

Tak powstało dzieło Diderota. Ono jest więcej niż dysertacją moralną, więcej niż satyrą społeczną. Nie należy dowierzać filozofowi, który lżąc nicponia, żarłoka i duszę z błota, próbuje mu przeciwstawiać moralne zasady życiowe. To tylko prowokacja podstawiona kuzynkowi, by się potoczył lawiną słów o podwójnym znaczeniu — fikcyjnym i tkwiącym w naturze rzeczy.

Stronica po stronicy, wiersz po wierszu sączą umowne znaki tajniki swego pochodzenia i wróżą swą przyszłość: Co nie jest doskonałe — nie jest; szczytami przeżyć mierzy się czas, nie trwaniem nudnym; w mig należy chwytać promień by rąk nie poparzył.

Książka ta jest z tych, po których można już nic więcej nie czytać, książka na puszczy, której karty obraca wiatr.

Ona jest niedościgniona, bo perfekcja nie dopuszcza porównań. Co mniej udałe, to nie wchodzi w rachubę, reszta jest drobinową, zbytem który pominąć by trzeba. Bowiem metoda szerokich redukcji stosowana według teorii paroksyzmowego maximum, poświęca skrupulatność dla rozmachu. Zmienia ono ludzki niedobór w przesadę boskości, takim cudem jaki wywiera opium, gdy tchórzliwego lokaja przerabia w herosa błyszczącego od świecideł swej zbroi.

Rameau, jak piane kurczę, wciąga ramiona i wyciąga za długą szyję, ten cały zbyt, tę resztę, którą pominąć trzeba.

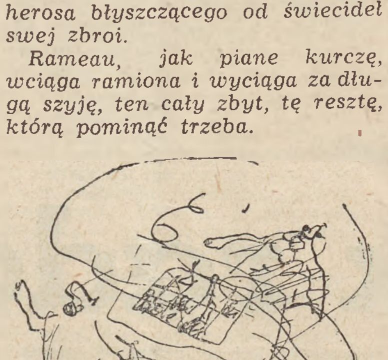

Rysunki Lucyny Wranik

Instynkt mijania, co ptaki wędrowne wygania w przestworza, już go poniósł pod mocą Trafu. A że każdy skrawek gruntu rozstajem mu jest, więc poszedł na przełaj, jak pomylony drogowskaz kierując w nieznane.

I gdy zeszli się filozof i włóczęga, był im ten traf nieodwracalnością swą przesądzony, a serce jak kamień poszło na dno. Rażeni piorunem aktualności, nie pytali co dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KRYSTYNA WRYCZAN

STANISŁAW KIPTA

Przeszłość i przyszłość

Katowice dzisiejsze — to miasto rewolucji przemysłowej XIX w. i obecnego stulecia. Prawa miejskie uzyskały Katowice dopiero w 1865 r. jako licząca podówczas 4515 mieszkańców osada. Miasto ówczesne rozwinęło się głównie wzdłuż dzisiejszej ulicy warszawskiej i 3 Maja. Znam jeszcze wiele osób, które pamiętają jak w okolicy placu Miarki na ugorach pasły się kozy.

Główną przyczyną rozwoju Katowic — to wielkie zakłady przemysłowe, kopalnia „Katowice", „Ferdynand", „Kleofas", „Wujek", huta „Baildon", „Ferrum" i dziesiątki innych zakładów przemysłowych. Rozwój ciężkiego przemysłu i ciągle postępująca rozbudowa hut i kopalń wyniosła tę mizerną mieścinę do godności wielkiego centrum komunikacyjnego, handlowego i przemysłowego.

W roku 1895 lokuje się już w Katowicach Dyrekcja Kolejowa. Budynki Dyrekcji Policji i Poczty powstają już w naszym stuleciu. W 1907 r. został wybudowany teatr. Powoli jeden koncern przemysłowy za drugim wybiera sobie Katowice na swą siedzibę, buduje tu potężne gmachy i mieszkania dla urzędników.

Właściwy okres rozwoju miasta zaczął się jednak dopiero po przyłączeniu Śląska do Polski. Miasto awansuje na miasto wojewódzkie i stolicę regionu. Liczba ludności podnosi się gwałtownie. Na pomieszczenie szeregu urzędów, Sądów Okręgowego i Apelacyjnego, setek nowych urzędników państwowych i przemysłowych miasto nie było przygotowane. Zdobycie po pierwszej wojnie światowej mieszkania w Katowicach było podobne do wielkiej wygranej na loterii. Szalała podówczas spekulacja mieszkaniami, a nielegalna instytucja odstępnego nabierała prawa obywatelstwa w najrozmaitszych formach.

Nie prędko też miasto wyszło po pierwszej wojnie światowej z impasu mieszkaniowego. Zaczęło się najpierw od budowy domów mieszkalnych przez Skarb Śląski i Skarb Państwa we własnym zakresie. Później Państwo zaczęło pomagać lepiej sytuowanym urzędnikom w budowie will w dzielnicy południowej. Kredyt był udzielany na 1 proc. rocznie i to do 90 proc. kosztów budowy. Mimo to wobec wygórowanych kosztów budowy w pierwszych latach nawet wyżsi urzędnicy V kategorii płac nie mogli się utrzymać przy swych domach. Mieszkania bowiem we własnych domach mimo tak dogodnych kredytów okazały się dla nich za drogie.

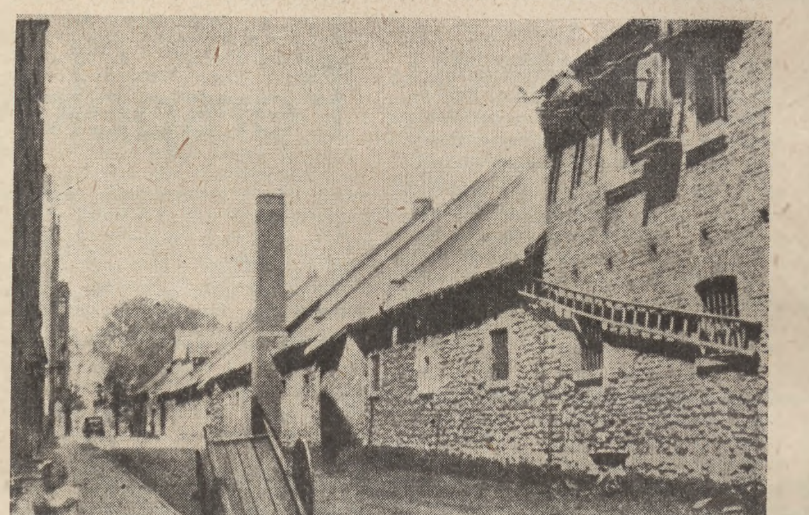

Zabudowania folwarku katowickiego z końcem XVIII w., przy ul. Piastowskiej stanowią najstarszą zachowaną po dziś część miasta, położoną w centrum miasta.

Największym bezpośrednio budowniczym Katowic okazał się Skarb Śląski. Ma on za sobą jeden z najpiękniejszych gmachów urzędowych w Polsce — gmach wojewódzki, gmach Urzędów Niezespolonych, drapacz nieba dla Urzędów Skarbowych, gmach Funduszu Pracy, potężny gmach Śląskich Naukowych Zakładów Technicznych i gmach Biblioteki Śląskiej i Domu Kultury, oraz dziesiątki innych pomniejszych budynków.

Innym budowniczym miasta okazała się Gmina Miasta Katowic. Większa część ulicy Raciborskiej z koszarami, dziesiątkami budynków szpitalnych, szkół — to jej dzieło. W latach przedwojennych Gmina budowała bloki mieszkalne przy ul. Chorzowskiej. Miasto wybudowało nowoczesną Halę Targową, godną wielkiego miasta i dziesiątki innych budynków, głównie szkół, gmachów biurowych, kąpieliska na Buglowiźnie, rozszerzono znacznie i udoskonalono sieć komunikacyjną.

Rozwój miasta często krzyżował się z interesem jednostki. Warto tu przytoczyć jeden fakt niezwykle ciekawy: starcie się interesu prywatnego z interesem publicznym. Fakt ten czeka na swego dziejopisa, czy literata, który ten dramat ubierze we właściwą formę. W szczególności Zarząd Miejski przed wojną ostatnią chciał wyprostować ulicę Kościuszki przy skrzyżowaniu z ulicą Brynowską. Niestety, na przeszkodzie temu przedsięwzięciu stała rudera, dom i stodoła jednego z gospodarzy rolnych w Brynowie. Bronił się on przeciwko wszelkiego rodzaju zakusom władz miejskich w kierunku nabycia tej nieruchomości. Groził siekierą funkcjonariuszom miejskim, robiącym pomiary. Miasto było w poważnym kłopocie. Mogło bowiem dojść przy obejmowaniu wywłaszczonego terenu do rozlewu krwi. Trzeba więc było uciec się do pewnego wybiegu. Zarząd Miejski przygotował w tajemnicy baraki mieszkalne i gospodarcze dla wywłaszczonego, spowodował tymczasem przytrzymanie upartego właściciela, a w międzyczasie straż ogniowa i techniczne oddziały Zarządu Miejskiego w paru godzinach złożyły baraki, a stare budynki rozebrały. Nasz kwerulant zasypywał wszelkie możliwe władze i sądy skargami i sprzeciwami, w końcu dał jednak za wygraną i uległ wyższemu interesowi społecznemu.

Doniosła inwestycja, a w szczególności autostrada służąca do ominięcia miasta przy komunikacji dalekobieżnej tuż obok Parku Kościuszki w stronę lotniska itd. czeka na realizację.

Wielkiej miary budowniczym okazał się również Zakład Ubezpieczeń Społecznych, który dał miastu potężną ilość bloków przy ulicy Lisieckiego, Wandy i Poniatowskiego.

Budownictwo to jako niezwykłe osiągnięcie oceniać można jedynie w porównaniu z mizernymi w czasie osiągnięciami niemieckimi. Było ono równocześnie dziełem robotnika polskiego, który po minionej wojnie decydować może o przyszłości budowlanej Katowic w tych ramach, jakie zakreśla miastu program gospodarczy Polski Ludowej.

Obecnie zaczyna zarabiać energicznie na pomnik niedawno powołany dekretem o najmie lokali Fundusz Gospodarki Mieszkaniowej a także akcja Rady Państwa w przedmiocie poprawy komunalnych warunków bytu klasy robotniczej oraz młoda organizacja Zakład Osiedli Robotniczych. w przyszłości największy inwestor w budownictwie mieszkaniowym robotniczym. Wszystkie znaki na ziemi i na niebie wskazują, że w biurach naszych planistów, w Ministerstwie Odbudowy. centralnych zarządach poszczególnych przemysłów i w samorządach przygotowuje się akcja budowy mieszkań na skalę, do której świat kapitalistyczno - liberalny nie był przyzwyczajony. Na razie jednak dotychczasowe plany mówiły głównie o odbudowie zakładów pracy, komunikacji i zaspokojeniu najbardziej piekących zadań państwa, które znalazło się na ruinach wojennych. Rozpędzenie kół gospodarki narodowej na pełne obroty na odcinku budowy mieszkań i wyzwolenie wszystkich uśpionych sił narodu na tym polu nastąpi i musi nastąpić w ramach planu sześcioletniego i planów następnych.

W każdym razie należy uwypuklić okoliczność, że przedwojenne Katowice musiały kilkanaście lat czekać na rozwinięcie ruchu budowlanego na wielką skalę. Obecnie impas powojenny wydaje się skończyć grubo wcześniej.

Inicjatywa prywatna ma również udział w rozbudowie

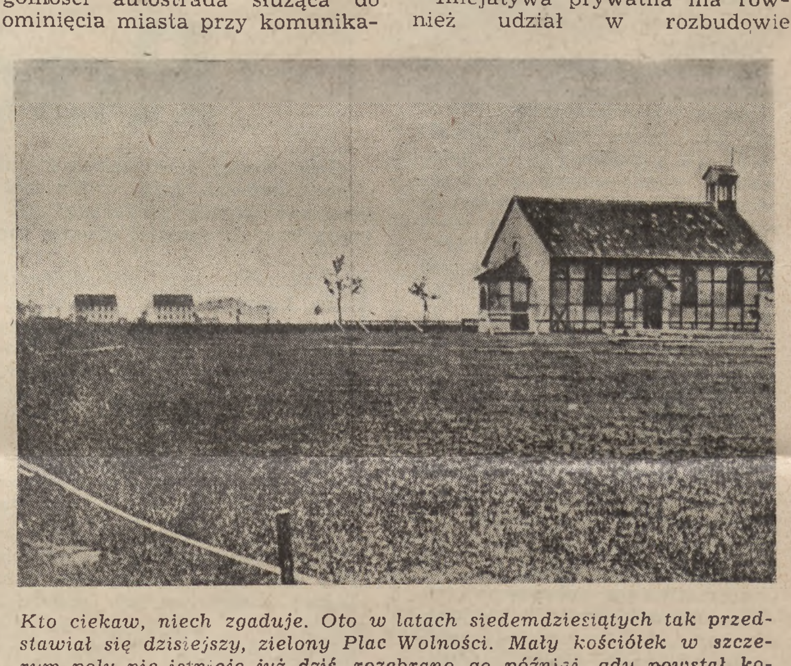

Kto ciekaw, niech zgaduje. Oto w latach siedemdziesiątych tak przedstawiał się dzisiejszy, zielony Plac Wolności. Mały kościółek w szczerym polu nie istnieje już dziś, rozebrano go później, gdy powstał kościół Mariacki.

Życiorysy miast

Cztery mile za Oławą... a w Oławie — co?

Dwie drobne staruszki w czerni drepcą sobie po żółtej ścieżce, na której położyły się cienie pięknych, wyniosłych drzew. Złotawy, cichy przedwieczór wibruje pomiędzy pniami i w plątaninie krzewów, niespodziewanymi zupełnie chlustnięciami jasnej zieleni, przez którą prześwieca nisko kłoniące się w zachód słońce. W zielonych skłębieniach parku, ciągnącego się płachtą szeroką od dworca aż po spalone centrum — przed wieczorne poświsty ptaków.

W roku 1241, w tym samym pamiętnym roku, w którym padł Henryk Pobożny, Mongołowie ciągnący przez Śląsk, puścili z dymem Oławę. Było to jakby preludium do legnickiej batalii. Odbudowaną zupełnie strawił pożar w XVII stuleciu. Poraz drugi dźwiga ją z gruzów dość osobliwy rozkaz pułkownika szwedzkiego, Gunna. Po raz trzeci spopiela ją płomień Drugiej Wojny Światowej. Tak więc znów wiele domów Oławy martwieje i kamienieje głuchą czernią zwęglonych wnętrz.

Najtragiczniejszym momentem dla szczupłej garstki Oławian, którzy przetrwali w polskości, musiała być chyba chwila, gdy po Kongresie Wiedeńskim, przy dźwiękach kawaleryjskiej fanfary wjechał na rynek Oławy, w roku 1819, pruski pułk huzarów von Schilla, by pozostać na garnizonie sto lat. W tych czasach nie pamiętano już o piastowskich tradycjach miasta, ale najstarszym ludziom dziadowie ich opowiadać mogli o królewiczu polskim, Jegomości Jakubie Sobieskim, który mocą przedziwnych praw i wyroków historii, u schyłku XVII w. panował na zamku oławskim.

Na tym spalonym dziś zamku siedzieli przez długie wieki Piastowie legnicko-brzescy. Linii, która się utrzymała najdłużej ze wszystkich dynastii piastowskich. Historyczny obiektywizm nakazuje przypuszczać, że chyba u schyłkowych lat średniowiecza była ta linia Piastów już całkowicie zniemczona. Tak jednak bywało zawsze. Możnowładcy, arystokraci polscy, którzy zdawało się byli predystynowani samym już oddziaływaniem tradycji do roli obrońców polskości, pierwsi wyzbywali się jej. Któż to w XVII i XVIII wieku wyrzekał się mowy polskiej, stroju i obyczaju polskiego? Któż to stroił się w peruki, harcapy, rajtroki, fraczki i pudermantle jak nie Braniccy, Potoccy i Czartoryscy? Zaczynało się zwykle na modzie — kończyło się na zdradzie Ojczyzny.

Lecz królewicz Jakub Sobieski... Ten potrafił przechować tradycje wielkich władców Rzeczypospolitej i wskrzesił na krótką chwilę dawną świetność Oławy. Miasto i włości przyległe objął we władanie w roku 1691. Rządził na zamku oławskim, otaczał się dworem polskim i utrzymywał stałą łączność z Ojczyzną. Dzięki niemu związki Oławy z Polską przetrwały aż do połowy XVIII wieku. Pruski, brutalny ucisk, zajadłe tępienie polskości, polityka Hakaty „Drang nach Osten" — zrobiły swoje. Ale po osadach, po wsiach jeszcze dziś można zobaczyć jakieś tam szafy ludowe, jakieś zydle i malowane kołyski, z których żywymi barwami staroświeckiego napisu jarzą się słowa polskie. Jakieś złote myśli i aforyzmy, w których ludowy artysta pragnął uwiecznić swe dumy, aby w tej izbie śląskiej, dla której przeznaczył swe dzieło, było uroczyście, dostojnie, mądrze, po gospodarsku.

Chciałem przyjrzeć się obliczu Oławy. Uchwycić te cechy typowe, które upodobniając to miasto do innych miast dolnośląskich dawałyby jakieś pojęcie o indywidualnym jej charakterze. Był ciepły przedwieczór. Od spienionych zielenią zakątków starego parku napływały przegrzane wonie zeschłej trawy, wody i drzew. Rynek był różowy i pusty. Tak doskonale pusty, jak jakaś luka w życiu, co podkreślały jeszcze próżnie ziejące ze zgliszcz. Jakiś samotny człowiek w starej, żołnierskiej polówce wsparty na lasce i kuli kołysał się cierpiętniczo na prostokącie rynku, posuwając się ku narożnikowi do cna spalonego domu. Było coś bolesnego nad wyraz w zestawieniu jego niedoli z gorzką ciszą spopielonego rynku. Miasto-ofiara wojny i człowiek-inwalida wojenny.

Ale wieczór sierpniowy trwa długo zanim ciemność zapadnie i nie chciałem uwierzyć w to, że zamarła historia, pusty, tragiczny rynek szumiący drzewami park, po którego alejach błądzą staruszki w czerni, to już wszystko co mi dać mogła Oława. Doszedłem do narożnika rynku i zagłębiłem się w jedną z ulic. Stały tu żywe domy o oknach pootwieranych szeroko, w których ciepły wiaterek leciuteńko poruszał firanki. W bramach stały młode dziewczęta i młodzi chłopcy. Słyszałem wesoły śmiech. Z mieszkania na pierwszym piętrze donosiły się dźwięki palcówek. Ktoś ćwiczył, ćwiczył zawzięcie. Do, re, mi, fa sol. Sol, fa, mi, re, do. Z małej owocarni-lodziarni wychodzili opaleni młodzieńcy i podnosili ku ustom waflowe rożki z lodami. Było jakoś prawie wesoło. W każdym razie było pogodnie i gwarnie. Najniespodziewaniej zupełnie przypomniała mi się Warszawa z końca 46 roku. Tam zasadnicza zmiana nastroju była kwestią kilku metrów długości. Kilku kroków dosłownie, kiedy to wystarczyło skręcić w pierwszą lepszą ulicę odbiegającą od Marszałkowskiej, aby z wielkomiejskiego rozgwaru wejść w ponurą krainę zniszczenia i pustki najzupełniejszej.

Niewątpliwie na życie Oławy wywiera wpływ bliskość Wrocławia. stwierdzić to może każdy, komu przyjdzie ochota spędzić kilka godzin na dworcu. Obserwuje się ruch znaczny pociągów. Sapiące lokomotywy przetaczają się raz po raz. Długie sznury wagonów postukują wśród semaforów i zwrotnic. Jakżeż nieskończenie daleko odbiegliśmy od tych czasów, kiedy to 22 maja 1842 roku przybył tu pierwszy pociąg z pobliskiego Wrocławia. Ta bliskość wojewódzkiego miasta i ta wielka stacja węzłowa, stworzyły dogodne warunki do odżycia zdruzgotanej kataklizmem wojennym Oławy i umożliwiły odrodzenie się jej przemysłu.

W Oławie, w tej samej Oławie, której tak znaczne partie straszą przechodnia pustką, uczy się młodzież szkolna. Pracują fabryki i warsztaty. Jest tu gimnazjum i liceum w których kształcą się robotnicze i chłopskie dzieci z całego prawie powiatu. Tego nieszczęśliwego powiatu, którego żyzne tereny zaminowane były w 50 proc. Tego nieszczęśliwego powiatu, którego dzisiejsi mieszkańcy spokojnie obsiewają swe pola dzięki niebezpiecznej, ofiarnej pracy polskich i radzieckich saperów.

Tadeusz Zelenay

MICHAŁ BUBIENNOW

Biała

Fragment

Przed obiadem major Ozierow udał się do pierwszych linii obrony. Ale, kiedy doszedł do skraju lasku, dogonił go łącznik ze sztabu i zakomunikował, że przyjechał nowy komisarz pułku. Trzeba było wracać.

Major Ozierow wiedział o mianowaniu nowego komisarza i oczekiwał jego przybycia już od tygodnia. Niewiadomo dlaczego majorowi wydawało się, że ten komisarz powinien być podobny pod każdym względem do poległego Jachno; nic nie mogło zaćmić w oczach Ozierowa jego postaci — ani ogień, ani dym wojny. Wkrótce miał się przekonać, że się omylił w swoim oczekiwaniu. Nowy komisarz — Firs Iwanowicz Brancew — był zupełnie innym człowiekiem. Jeśli Ozierowowi wydawało się, że Jachno zawsze błyszczał jak dobrze oszlifowany diament, to ten był ciemny jak węgiel. Robił takie wrażenie dlatego, że wszystko miał ciemne z natury i szczupłą o grubych ustach twarz, i włosy tak gęste, że mógł chodzić bez czapki, i chmurne, nie znoszące jasnego światła, oczy. I nawet głos, wydawało się, miał ciemnawy, podziemny — rozmawiał, zwłaszcza z początku, krótko, urywanymi zdaniami i niejasno.

Rozmowa tak, jak wypadało, zaczęła się przy obiedzie. Z okazji poznania się major Ozierow nalał komisarzowi stopkę wódki.

— A sobie? — zapytał Brancew.

— Ja rzadko piję.

— To bardzo niebezpieczne.

— Niebezpieczne? Dlaczego?

— Na starość zaczniecie pić na umór, — wyjaśnił Brancew ponuro i z przekonaniem, jakby z nim samym zdarzyła się taka smutna historia. — Dziś wypijcie — dodał. — To nawet konieczne.

— Dobrze, ja naleję — nagle zgodził się Ozierow.

Brancew podniósł kieliszek.

— Za pomyślność!

Wypił szybko, ale potem długo chwytał powietrze, śmiesznie wydymając mięsiste wargi, i pośpiesznie, jak głodny szczeniak, obwąchiwał kawałek świeżego chleba, — jasnym się stało, że nie jest wielkim amatorem wódki. To właśnie nasunęło Ozierowowi myśl, że nowy komisarz należy do liczby takich ludzi, których trudno przejrzeć przy pierwszym widzeniu; tacy wobec świeżo poznanych ludzi są szczególnie czujni i ostrożni.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę — mówił dalej Brancew, zagryzając kawałkiem kiełbasy. — Z niczym nie da się porównać przeświadczenia o pewności zwycięstwa nad wrogiem.

— A ja spodziewałem się wcześniejszego waszego przyjazdu.

— Zatrzymali mnie w politycznym oddziele armii, — odparł Brancew, ciągle jeszcze chroniąc zmęczone oczy przed światłem. — prawdę mówiąc, musiałem często bywać w szpitalu. Wcześnie rano wyjechałem z Moskwy.

— Wy, towarzyszu, jesteście, zdaje mi się, moskwiczaninem? A więc byliście w domu?

— Byłem,... ale dom pusty.

— A rodzina?

— Rodzina tam! — Brancew wskazał ręką na zachód. — Ja byłem nad granicą.

Żona urodziła bliźnięta. Dwa wózeczki..

Z trudem i powoli, jak kwiat o wschodzie słońca, otwierała się przed Ozierowem dusza nowego komisarza, — i Ozierow począł dostrzegać w niej pełno ogniście czerwonej barwy, jak w koszyku, pełnym kwiecia maku. „Opowiada mi ten człowiek" — zauważył Ozierow i zabrał się znowu do butelki z wódką. Ale Brancew kategorycznie odmówił.

— Zresztą niepotrzebnie oczekiwaliście mego przybycia, — powiedział Brancew, jakby trochę weselej, i po raz pierwszy uważnie spojrzał na Ozierowa. — Ja mam wybitnego pecha w obronie. Już dwa razy od początku wojny opuszczałem linię. Najoczywiściej, podobny jestem do motoru, bez tylnego biegu: w czasie ruchu naprzód pracuje prawidłowo, przy najmniejszym ruchu wstecz — awaria...

— Na wojnie konieczne są wszelkie mechanizmy, — powiedział Ozierow.

— Teraz wiem już o tym, — odparł Brancew. — Ale z początku nie wiedziałem. Przywykłem uważać jako jedynie pożyteczny ruch, — marsz naprzód. Wszelkie inne manipulacje — to balet... Z tych względów nie nadawałem się do walk, w których brałem udział.

— Ponosił was temperament?

— Najprawdopodobniej, szczerze przyznał się Brancew.

Ozierow był zadowolony z przebiegu rozmowy. — Ależ, drogi komisarzu można by dojść do zaprzeczenia wartości manewru na wojnie. A wojna nie jest ruchem tylko po linii prostej.

— Teraz to wiem. Ale to było bolesne!...

— A więc wasz cel — to natarcie?

— Możliwe.

Rozmowa coraz większe sprawiała zadowolenie Ozierowowi. Wprawdzie nowy komisarz wciąż jeszcze wydawał mu się czarnym kawałkiem antracytu, ale teraz Ozierow czuł, że nie on jest chłodny, że, przeciwnie, jest rozpalony, jakby niedawno wyjęty z ogniska. I wystarczy z powrotem wrzucić go do ogniska, aby od razu zajaśniał ogniem...

Wkrótce Ozierow dowiedział się, że Brancew przyjechał z jedyną myślą, która nim całkowicie owładnęła — nacierać. Żył rozkoszą zemsty i surowych porachunków z wrogiem, i pewno dlatego robił wrażenie ciemnego i nieludzkiego. I Ozierow zapragnął jak najśpieszniej wyciągnąć od Brancewa informacje o froncie, które zebrał w drodze z Moskwy do pułku.

Po obiedzie Ozierow chytrze zapytał:

— Zechcecie zapewne odpocząć po drodze, Firs Iwanowicz?

— Tak, muszę odpocząć, — odpowiedział Brancew z ironią. Ze mną tak było: dwa miesiące odpoczywałem w szpitalu i, trzeba powiedzieć, aż zmęczyłem się tym odpoczynkiem. Wszak wypoczywaniem też można się zmęczyć? Tak, więc teraz znów mi potrzebny odpoczynek.

— Świetnie — powiedział Ozierow, — taki odpoczynek można urządzić bardzo szybko. Ja was zapoznam z naszymi sprawami. A schron dla was szykować?

— Myślę, że obejdę się bez swojego oddzielnego schronu...

— Jesteście przeciwni wszelkiemu przywiązywaniu się do miejsca na wojnie?

— Słusznie-

Ozierow szybko podniósł się ze swego miejsca, wielki, ociężały, w bluzie bez pasa, i usiadł obok czarnowłosego komisarza — bo w ten sposób lubił prowadzić przyjacielskie i szczere rozmowy. Nawet wziął Brancewa za kolano.

— Więc jak prędko?

Brancew dotknął swej gęstej czupryny i, jakby w zamyśleniu poprawił czarną płaską czapeczkę, której nigdy nie zdejmował z głowy, spojrzał na drzwi i odpowiedział przyciszonym głosem:

— Bardzo prędko. — I opowiedział co następuje: — Podwieźli mnie przedstawiciele dywizji, która niedawno przybyła z Syberii. Obecnie znajdują się w rejonie Borodino. Według wszelkich danych przyjechali tu, żeby dostać pewien odcinek. Znaczy to, że nasz odcinek stanie się krótszy. Widziałem także dużo artylerii, która podciągała do linii frontu. Myślę, że nie później jak jutro można oczekiwać ważnych decyzji ze sztabu dywizji. Bo i na co czekać? Wiadomo, że przejście od obrony do natarcia uważają starzy stratedzy za jeden z najtrudniejszych wyczynów wojennych.

— Starzy i przede wszystkim niemieccy sztabowcy — z irytacją dodał Ozierow.

— A zresztą niech oni sobie tak myślą ci starzy stratedzy! Ozierow zerwał się z miejsca i stanął

budowlana Katowic

miasta. W pierwszych latach budował kapitał wybitnie spekulancki, pobierając od kandydatów na mieszkania tzw. dodatki budowlane w wysokości wartości mniej więcej jednego pokoju i pobierając wygórowany czynsz z góry. Silnym motorem budownictwa mieszkaniowego okazały się również ulgi podatkowe i możność zużytkowania podatku dochodowego na budowę nowych domów przez wielkie przedsiębiorstwa. W ten sposób powstały m. in. bloki Heliosa przy ulicy Wandy i Rymera.

W ostatnich latach tuż przed wojną ukazał się na rynku budowlanym w masie mały człowiek i drobny ciułacz. Główną przeszkodą dla niego był wybitny brak parcel. Skoro jednak Gmina czy Skarb Śląski, czy też koncern przemysłowy parcelował jakiś większy teren parcele te były rozkupywane niczym świeże bułki. Momentalnie tereny te zabudowywano. Tak więc w ciągu dwóch lat powstały całe kolonie koło kopalni „Ferdynand", w Ligocie i koło Wełnowca.

Z innych organizacji jako budowniczych miasta w okresie międzywojennym trzeba wymienić także Kościół Katolicki. Wybudował on parę kościołów na przedmieściach, pałac Kurii Biskupiej, gimnazjum św. Jacka, oraz rozpoczął budowę katedry, w obecnej chwili kontynuowaną.

Okres okupacji i wojny — to okres naprawdę ponury w dziejach miasta. Jakiś przechytrzony szabrownik niemiecki przekonał władze, że gmach Muzeum Śląskiego — jeden z najnowocześniejszych gmachow muzealnych w świecie — jest sprzeczny z duchem kultury niemieckiej i spowodował rozbiórkę. Zasadniczo jednak chodziło mu o odzyskanie paru tysięcy ton żelaza budowlanego z gmachu. Po Niemcach zostało jedynie w mieście nieco baraków, które jednak jeszcze jakiś czas musimy tolerować.

Po wojnie rozpoczyna się dla miasta nowy wielki okres rozwojowy pełen wspaniałych perspektyw przyszłościowych. Katowice znowu zaawansowały. Z miasta prawie że pogranicznego stały się stolicą olbrzymiego województwa, stolicą najważniejszych kluczowych przemysłów. Tak samo jak po pierwszej wojnie napłynęła do miasta olbrzymia masa nowych urzędów i funkcjonariuszy nowych instytucji. Kilkaset mieszkań objęły biura, organizacje społeczne. Zaczynają się w Katowicach, podobnie jak po pierwszej wojnie światowej, trudności mieszkaniowe, niemal palące.

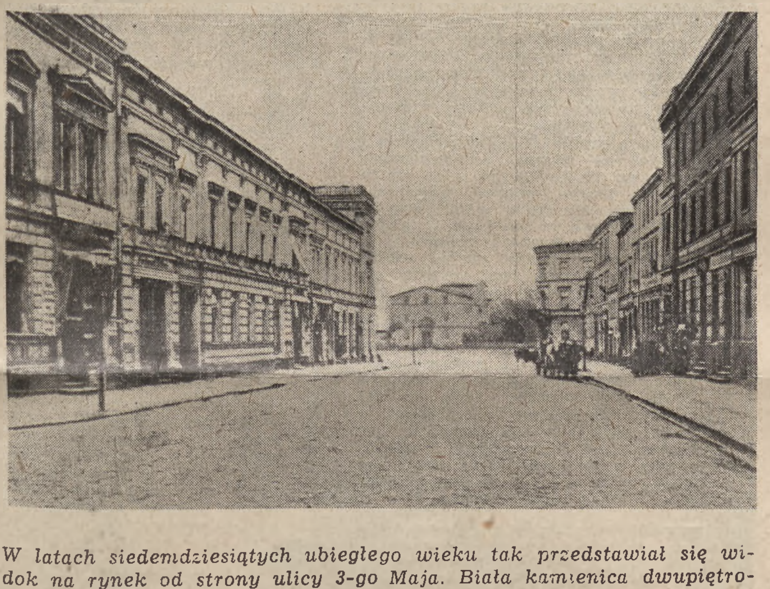

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku tak przedstawiał się widok na rynek od strony ulicy 3-go Maja. Biała kamienica dwupiętrowa na środku rynku ustąpi wkrótce miejsca budynkowi teatralnemu.

Nasz plan trzyletni celowo nie przewidywał poważniejszego ruchu budowlanego na cele mieszkalne z uwagi na pilniejsze potrzeby odbudowy życia gospodarczego i przemysłu. Według artykułu dra Rudolfa Beresia „Zapotrzebowanie mieszkaniowe Katowic" w dwutygodniku „Życie Gospodarcze" deficyt mieszkaniowy wynosi obecnie 25 tysięcy izb mieszkalnych. Autor ten przewiduje, że liczba mieszkańców w 1955 r. wzrośnie do 220 tysięcy. Na najbliższe 7 lat miasto powinno się zdobyć ponadto na 60 tysięcy izb mieszkalnych, czyli przeciętnie budować 8500 izb rocznie. W okresie powojennym do końca września 1948 roku wybudowano 495 mieszkań z ilością 1090 izb mieszkalnych. W 1938 roku przypadało na izbę 1,5, zaś obecnie 1,9 osób na izbę. Słusznym jest więc stanowisko autora, że zagęszczenie mieszkaniowe może budzić poważne obawy o stan zdrowotny i poziom życia ludności.

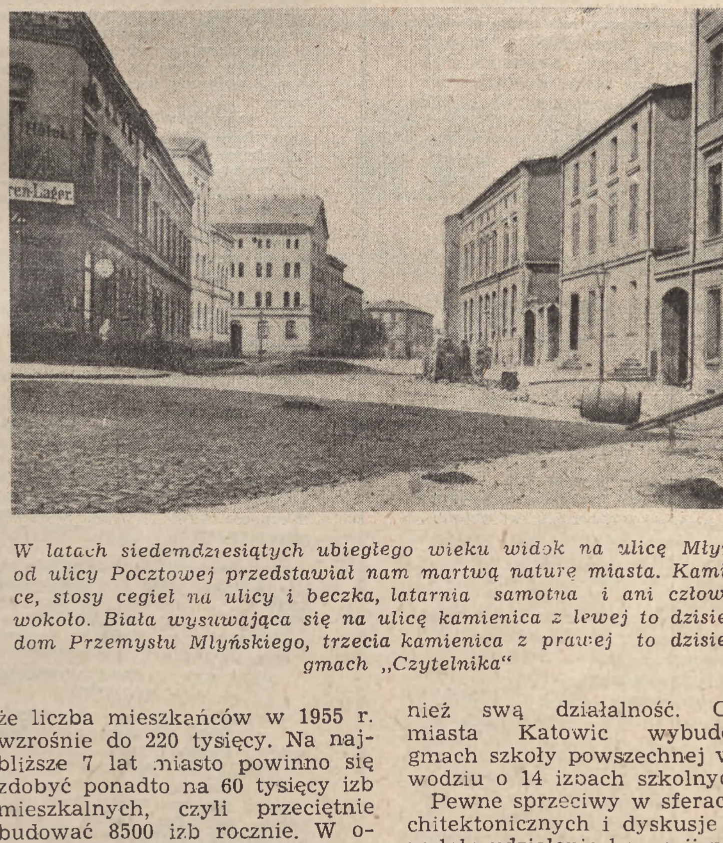

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku widok na ulicę Młyńską od ulicy Pocztowej przedstawiał nam martwą naturę miasta. Kamienice, stosy cegieł na ulicy i beczka, latarnia samotna i ani człowieka wokoło. Biała wysuwająca się na ulicę kamienica z lewej to dzisiejszy dom Przemysłu Młyńskiego, trzecia kamienica z prawej to dzisiejszy gmach „Czytelnika"

Należy wyrazić nadzieję, że w okresie planu sześcioletniego miasto zwróci więcej uwagi na ruch budowlany mieszkalny. W okresie powojennym obserwujemy już pierwsze jaskółki ruchu budowlanego. Państwo wybudowało potężny pięciopiętrowy gmach przy ulicy 3 Maja nr 11 z przeznaczeniem na Powszechny Dom Towarowy i pięciopiętrowy gmach przy ulicy Wita Stwosza na pomieszczenie biur Centrali Żelaza i Stali. Banki państwowe budują trochę mieszkań dla swych urzędników. Katowicka Spółdzielnia Mieszkaniowa rozpoczęła również swą działalność. Gmina miasta Katowic wybudowała gmach szkoły powszechnej w Zawodziu o 14 izbach szkolnych.

Pewne sprzeciwy w sferach architektonicznych i dyskusje wywołało udzielenie koncesji na budowę domu przy narożnikach 15 Grudnia, Rynku i Pocztowej. Według projektu przebudowy rynku nagrodzonego na konkursie architektonicznym pierwszą nagrodą, cały blok domów między ulicami 15 Grudnia, Rynkiem, Pocztową i Dworcową, a następnie między ulicą Kościuszki, Kochanowskiego, a placem Miarki miał zostać rozebrany, a w to miejsce miał powstać godny Paryża i budowniczego Hausmana potężny plac od placu Miarki aż po wylot ulicy Chorzowskiej. Okazuje się jednak, że plan ten nie da się jednak prędko zrealizować. Niezbędnym warunkiem przeprowadzenia tego planu — to budowa tunelu z ulicy Dworcowej bezpośrednio do ulicy Kościuszki. By wybudować ten tunel, tory kolejowe musiałyby być podniesione co najmniej o jeden metr. Kolej jest zaś zdania, że tego rodzaju inwestycja nie jest do pomyślenia przed upływem 30 lat. Koszt wywłaszczenia i usunięcia domów w partiach przeznaczonych na rozbiórkę przekraczałby co najmniej 30 miliardów złotych. Jeśli plan ten będzie kiedyś aktualny, to koszt rozbiórki wybudowanego gmachu nie zaważy zbytnio na ogólnych kosztach regulacji tego terenu, a za 30 lat dom powinien być zamortyzowany.

Piękny przykład pokazuje organizacjom społecznym RTPD przystępując do budowy potężnego gmachu „Pałacu Dziecka". Jeśli już o tym mowa, na marginesie należy zaznaczyć, że istnieją głosy wśród urbanistów, by w śródmieściu gęsto zaludnionym i o silnym ruchu ulicznym, niebezpiecznym dla dzieci, zbudować miasto dzieci w bezpośredniej łączności z parkiem Kościuszki. Nie mogłyby to być gmachy zbyt wysokie z uwagi na charakter terenu, ale bliskość Parku Kościuszki i względy na bezpieczeństwo dzieci wyrównują niekorzyści. Część mieszkań można uzyskać przez przeniesienie niektórych biur państwowych, przemysłowych, instytucji społecznych do innych pomieszczeń.

Nasz przemysł węglowy zainicjował potężną akcję budowy tzw. domków fińskich w Bogucicach i na Załęskiej Hałdzie. Niezawodnie Zakład Osiedli Robotniczych w ramach planu sześcioletniego będzie miał dużo do powiedzenia. Większość wysiłków budowlanych będzie skazana na finansowanie ze źródeł publicznych. Na inicjatywę prywatną zbytnio liczyć nie można. Naszym jednak zdaniem warto by pomyśleć, by wzorem Związku Radzieckiego poprzeć inicjatywę prywatną budowy małych jednorodzinnych domów. Śródmieście do tego rodzaju akcji się nie nadaje. Natomiast mogą wchodzić tu w grę tereny podkopane. Takie tereny widzimy w czworoboku między ulicą Kościuszki, Francuską, Biskupa Lisieckiego i terenami toru wyścigowego. Należałoby tylko teren ten uzbroić, pobudować odpowiednią komunikację, doprowadzić na teren wodę i światło, ewentualnie gaz, poszatkować na poszczególne parcele. Teren ten niezwykle zaniedbany zaroiłby się od tysiąca will i ogródków działkowych, a przedmieście ze swą brzydotą i zaniedbaniem zniknęłoby w szacie zieleni.

Warto także pomyśleć o tym, by zelektryfikować katowicki węzeł kolejowy i umożliwić 25.253 osobom dojeżdżającym do pracy w Katowicach umieszczenie się poza niecką węglową, i tak zorganizować komunikację, by czas dojazdu pracownika z domu do zakładu pracy nie przekraczał pół godziny w jedną stronę.

Dotąd osiągnięte rezultaty budowlane po wojnie, uwzględniając specyfikę trudności gospodarczych, rozmachem i znaczeniem przewyższają nie tylko plany niemieckie, ale i nasz międzywojenny start budowlany.

Zdobycie jak największej ilości mieszkań dla ludu pracującego Katowic i udoskonalenie komunikacji podmiejskiej przyczyni się do wykonania planu sześcioletniego, a w konsekwencji do podniesienia kraju na wyższe szczeble rozwojowe.

Stanisław Kipta.

Ossolineum we Wrocławiu

Oto temat kilku artykułów, które ukażą się w następnym numerze „Odry". Numer zawierać będzie prace Anny Kowalskiej, Krystyny Wryczan, Stanisława Telegi, Zenona Wiktorczyka i innych.

ERWIN CICHOWSKI

Pierwszy kwietnia 1949

na Mazurach

Podczas mego niedawnego pobytu w mojej ziemi rodzinnej, dokąd wybrałem się, aby zabezpieczyć pozostały jeszcze po tylu wiekach germanizacji materiał etnograficzny, byłem świadkiem rozumnego i braterskiego współżycia „Mazurów" od dawna zasiedziałych i ostatnio przybyłych.

Jest to przyjemne dla nas wszystkich wydarzenie — jedyne w swoim rodzaju.

Znalazłem się 1. kwietnia wieczorem w pewnej spokojnej, pracowitej i dobrze mi znanej mazurskiej rodzinie. Już niejeden wieczór spędziłem z nią na kolonii wśród młodzieży z pobliskich gospodarstw, opowiadając o polskich dziejach naszej ziemi rodzinnej. W zamian nasłuchałem się bez liku piosenek, bajek i wesołych opowiadań naszych ojców.

Dzisiaj „grózek" (dziadek) tej rodziny „wysukał w skrzynie paniynci" dla mnie „co esce ziedział". Do późnego wieczoru opowiadał mi, jak to było za dawnych czasów. Wspomniał o jednym „człozieku", który mieszkał w „Krakozie" (Kraków). Ten przybył na nasz teren za czasów dzieciństwa dziadka i ożenił się tu na Mazurach. Był to człowiek dobry, spokojny — ale krakowiaka to tak tańczył, że mu aż włosy dęba stawały. Lubiły go wszystkie dziewacki, bo nauczał je tańczyć krakowiaka. Mówiono, że walczył w jakimś powstaniu i musiał uciec z domu. Ale grunt, że był dobry i umiał dobrze śpiewać na weselach i zabawach. Do kościoła nie chodził wcale, ale kiedy ludzie się u kogoś zgromadzili, aby pomyśleć wspólnie o rzeczach głębszych — tam on zawsze był. Dużo nie mówił, tylko widać było u niego na twarzy, że traktował wszystko poważnie. Nigdy nie zaprzeczał nikomu, tylko mówił: „Dla ciebie może to być dobrze, lecz nie narzucaj tego nikomu". Śpiewać lubił bardzo. Oj! umiał on śpiewać — i „grózek" zanucił piosenkę na melodię krakowiaka...

Wtem słyszymy turkot szybko jadącego wozu. Wszyscy, którzy słuchali dziadka, z radością wstają z miejsc. — To napewno B. z Działdowa, bo chciał nas w tych dniach odwiedzić — mówią.

B. — to rolnik z Działdowskiego, wysiedlony przez Niemców podczas wojny ze swojego gospodarstwa. Przybywał on z sąsiedniego folwarku, gdzie musiał pracować z rodziną; przybywał wieczorami, aby z Mazurami pogadać w języku ojczystym. Często zabierał stąd jakąś rzecz dla dzieci, słodycze, jabłka i t. d. Teraz pracuje znowu na swojej ziemi w Działdowskiem.

Szybko postawiono lampę naftową na okno, aby widno była na dworze dla przybyłych — a gospodarz wybiegł, aby się z nimi przywitać.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Tylko słyszeliśmy, jak gospodarz przy drzwiach w sieni chrobotał.

Powrócił za chwilę z twarzą tak bladą jak jego krótka, siwa broda.

„Zamknęli nas..." — ciężko oddychał — „nie możemy wyjść..." Stanął przy drzwiach i oparł głowę o futrynę. Nie poznałem go wcale. W jego bezradnych, pomieszanych oczach czytałem: — czy jeszcze się nie skończyło? Czy jeszcze nie dosyć? Czy na nowo ma nastać ten czas pełen strachu i niepewności? Czyż nie skończyła się dawno wojna? Czy nie boją się milicji, która przecież bezlitośnie ściga sprawców kradzieży?

Łzy złości płynęły z jego oczu. Porwał się od futryny i przybiegł do mnie: „Pomóżta nam, musiwa coć zaradzić, bo wykradną nam konia i krowę z chlewa — całe nasze życie. Bondźta taki dobry".

Doradziłem: nie idźmy bezpośrednio do nich do chlewa, bo oni może z bronią, a my z niczym. Jeden z nas niech idzie z jednej strony gospodarstwa na pole, a drugi z drugiej strony, a syn niech też z daleka obserwuje. Ścigajmy złodziei przez całą nawet uoc.

Ale syn już nie słyszał. Wyskoczył z łopatą przez okno. Ja za nim. Położyłem się na ziemi, aby móc wszystko dobrze widzieć, od czasu do czasu zmieniając miejsce obserwacyjne.

Wszystko byłem zdolny w tej chwili uczynić dla tych ludzi. Gdy powrócili z ucieczki wojennej, nie zastali dużo rzeczy. Pozostały im kartofle — całe ich jedzenie. Potem sprzedali ostatnie rzeczy na zadatek na UNRRA-owską krowę. Ziemię obrabiali łopatą. Uzbierali powoli zadatek na konia „od rzundu", jak się wyrazili — — a teraz okrutne zbrodnicze ręce, pod ochroną ciemnej nocy, chcą im to wszystko wydrzeć — w jednej chwili?! —

Posunąłem się bliżej ku oborze, do chlewa, trzymając w ręku mocno kawałek żelazka. Widzę człowieka przed chlewem, zamykającego drzwi.

Złość mię bierze — co ten tutaj szuka!...

Wtem zagwizdał syn gospodarza, idę więc do niego.

„Wszystko w chlewie w porządku — mówi — krowa stoi i żuje, a koń śpi."

Odetchnąłem głęboko. Teraz mogą przyjść. Teraz jesteśmy na straży.

„Zawołaj ojca" — mówię do niego.

Tymczasem nadchodzi gospodarz.

„Wiecie co, nie ma woza — a w chlewie jak?...

Przekonaliśmy się, że wszystko w porządku, tylko wozu w oborze nie było.

„No, to nie zielka zguba" — uradował się gospodarz i zaczął żartować.

„Tato — słyszę nagle chłopca — dzisiaj przecież 1. kwietnia — może to Wilim (Wilhelm) zrobił nam jak wtedy przed wojną? Napewno razem z Jackiem to zrobili. Złodzieje nie wzięliby tylko lichego woza."

Poszedłem z nimi na poszukiwanie wozu. Znaleźliśmy go na łące w odległości jakichś 200 m od domu.

Dyszel jako pomnik wskazywał ku niebu. Deski boczne wrzucone do niegłębokiej studni, a nad nimi koło. Trochę dalej dwa koła razem drutem związane i t. d.

Gospodarz nie mógł powstrzymać się od śmiechu: „Toćci dranie — no, a tak nam strachu narobzili. Ale cekajta (poczekajcie), musita po koleju mi na raz pół litra za to wypsić" — groził w jakimś kierunku.

Nie wiedzieliśmy, co mówi. Radość była wielka, że nic więcej się nie stało. A gospodyni: „To im się tera jus chce tak żartować?"

Ale gospodarz złagodził: „Bziałko, dlacego nie, zidzis, to je dobry znak, ze znowuj normalne życie zaksitnie".

Tego zdania byłem i ja.

Przez całą noc nie mogłem spać — radość nie pozwalała mi zamknąć oczu. W sercu obudziła się nadzieja, że na Mazurach rozkwitnie spokój, że nie długo — a już nie będzie żadnej nienawiści człowieka do człowieka, że każdy będzie na siebie tylko pracować w spokoju i radości.

Wilim razem z Jackiem przodują. Wilim, Mazur, urodzony na Mazurach, a Jacek przyjezdny z Mławskiego — razem...

Oby więcej i jeszcze więcej takich jak oni!

ERWIN CICHOWSKI

BRONISŁAW KRETOWICZ

Pamiętniki działacza

W Szczytnie zapowiedziano wiec mazurski. Postanowiliśmy z Zameckim pojechać. Była to pierwsza, na większą skalę zakrojona, próba sił.

Był koniec stycznia 1920 roku. Mróz brał siarczysty. Sala przepełniona, że palca nie wetknąć. Nastrój poważny, skupiony, ale nerwowy. Od kilku dni bowiem po mieście kolportowane były pogróżki, że ludność niemiecka nie pozwoli polskim zdrajcom na takie zuchwalstwo w rdzennie niemieckim kraju, że do zebrania nie dopuści, że zrobi z tym wszystkim porządek.

Istotnie, przed domem snuły się gromady jakichś podejrzanych osobników, o bandyckich twarzach, obrzucając pogróżkami idących na zebranie Mazurów.

Na sali byli wszyscy niemal wybitniejsi działacze mazurscy — Barko, Jaroszyk, redaktor „Mazura", głośny w ostatnich czasach Linka.

— Który to? — pytam.

— O, siedzi tam, widzicie.

Widzę średniego wzrostu mężczyznę. Twarz poważna, sympatyczna. Włos siwy. To samo broda i suty wąs. Oczy mądre, myślące, przenikliwe.

A więc to ten, co rozmawiał z Wilsonem. Jemu żądania i skargi ziemi mazurskiej przedkładał. Ten — nieugięty, twardy patriota, bohater narodowy. Dopóki będą wpośród nas tacy — nie zginiemy.

Zaczęły się przemówienia. Padały z trybuny słowa mocne, ważkie, pełne zapału i wiary w tryumf naszej sprawy, budzące nadzieje i otuchą krzepiące dusze. Były one, jak zdrowy posiew, który miał wydać plon obfity.

Na mównicę wszedł Linka. Wszystkich oczy zwróciły się w jego stronę. Zerwała się burza oklasków...

I wtedy... Wrzask straszny, piekielny napełnił wnętrze. Zakotłowało się, poruszyło się wszystko. To niemieckie bojówki wdarły się na salę. Padły pojedyncze strzały.

— Precz z tym zdrajcą! — charczały ochrypłe, przepite gardła niemieckie.

— Do Paryża! Do Paryża!

— Nie ma dlań miejsca w niemieckiej ziemi!

— Dawać go prędzej!

— Dawać!

Dziesiątki rąk już się wyciągały po ofiarę. Byli coraz bliżej, coraz bliżej mównicy, torując drogę pięściami i pałkami gumowymi, gdyż opór ze strony naszej był słaby, jako że nie spodziewano się podobnego zuchwalstwa.

Starzec stał spokojny, choć bardzo blady. Groza ogarniała człowieka, patrząc na niego. Jak męczennik oczekiwał na swych oprawców.

I oto zesunął się z trybuny i znikł w tumulcie napastników, którzy ciągnęli go, jak barana na rzeź.

Nie pamiętam, jak się to wszystko stało. Tylko w oczach czy gdzieś w duszy wyrył się niezatartymi rysami okropny, mrożący krew w żyłach obraz męczeńskiej kaźni.

Stoi bohater nasz pod ścianą jakiegoś budynku. Rozzwierzęcona banda oprawców, z krzykiem i wrzaskiem wyzwisk i przekleństw kotłuje się wokół skazańca. Sypie się nań grad kamieni, a później wściekłe razy pałek gumowych i zwykłych, jakichś drągów czy sztachet naprędce z płotu wyrwanych, gwoździami najeżonych. On się nie broni nawet, nie krzyczy, nie wzywa na ratunek. Wzrokiem utonął gdzieś w niebieskich przestrzeniach, gwiazdami lśniących, i czeka na śmierć — za świętą sprawę mazurską... Osunął się wreszcie na ziemię i tam go jeszcze dobijano, a później tańczono na drgającym ciele starca...

Policja nie interweniowała. Tylko rozganiała nas, którzy biegliśmy zabijanego bronić.

Przewieziony w nocy pokryjomu do Olsztyna zmarł niedługo potem...

* * *

Komisja Międzysojusznicza zjechała się, a z nią gromadka angielskich i włoskich żołnierzy. Jest to kropla w morzu. Co oni tu poradzą, w tym rozpętanym morzu nienawiści i terroru? Co?

Władze pozostały te same, a sama policja — nic się absolutnie nie zmieniło.

— Wszystko zakrawa na wielką farsę, na obłudną grę, na zakłamanie wielkiej sprawy — zwierzał się do mnie z goryczą Zamecki.

— Więc co mamy robić?

— Co? Nie ustawać w pracy, nie upadać, pomimo wszystko, na duchu. Może z Polski jaka pomoc nadejdzie — jeżeli nie materialna, to chociaż moralna. Sam widziałem w zetknięciu się z ludnością, że poczyna wierzyć w żywotne siły Polski i od niej spodziewa się poparcia w przyszłej bitwie bezkrwawej.

— Niemcy starają się wpływy te zwalczać kłamliwymi plotkami o ubóstwie Polski, ciemnocie, wygórowanych podatkach i tak dalej.

— Wiem, wiem o tym. Niestety, trudna jest walka z ciemnotą, jaką potrafili Niemcy ugruntować wśród ludu mazurskiego podczas swego panowania. Najfantastyczniejsze brednie znajdują wiarę, a nie można temu skutecznie przeciwdziałać, gdyż młodzież nie potrafi już prawie czytać po polsku, a i w ogóle brak wielki dobrej polskiej lektury agitacyjnej. Trzeba jak najrychlej nawiązać ścisły kontakt z komitetami polskimi w Olsztynie i w Szczytnie i nawet z pograniczem polskim — może stamtąd uda się coś uzyskać.

Obiecałem, że podejmę się tej ostatniej misji, gdyż z czasów dawniejszych mamy stosunki z ludnością z za kordonu.

— Tylko szkoda wielka, że wówczas, w zimie jeszcze, jak to mówiłem, z bronią w ręku nie opanowaliśmy terenu. Niepotrzebny byłby dziś plebiscyt, a Mazury byłyby polskie.

— Miałeś rację. Tak zawsze bywa, gdy jaką sprawą zajmą się politycy, a nie entuzjaści. Ale tego teraz już nie naprawisz.

* * *

Przekroczyłem w pewną ciemną, słotną noc bezksiężycową granicę polską. Instynktownie odczułem jakąś dziwną zmianę. Te same pola, te same lasy, tylko chaty biedniejsze, słomą pokryte, kontrast rażący w stosunku do naszych budowli, odbudowanych wspaniale po zniszczeniu wojennym specjalnie w celach agitacyjnych w przyszłym plebiscycie, którym to atutem żonglują obecnie Niemcy po mistrzowsku na wszystkich zebraniach i wiecach.

To nic, że przestrzeń wokół nieznana i mroczna! To nic, że mgła wilgotna unosi się nad ziemią i zimnem przenika. Dusza czuje utulne ciepło jakichś innych, niewidocznych promieni, idących z daleka od tego cudnego słońca wolności, do którego obecnie my, Mazurzy, z takim utęsknieniem serdecznym dążymy.

Skierowałem się w stronę polskiej wsi Filipek, która, być może, w odległej przeszłości wysłała niejednego kolonistę na teren Prus Wschodnich. Może i mój pradziadek, niejaki Kwiatkowski, z tej wsi pochodził...

Wstąpiłem w jakieś opłotki. Przystanąłem. Cisza. Ludzie wypoczywają po dniu pracowitym. Nawet psów nie słychać, gdyż zostały przez Niemców podczas okupacji wystrzelane, by nie zdradzały szczekaniem ich najść i szpiegowań. Zastukałem od okna.

Otworzyło się za chwilę.

— Kto to? — odezwał się głos zaspany w całkiem zrozumiałej mazursko-polskiej mowie.

Serce we mnie zabiło niepokojem. Co mam powiedzieć.

— Swój... Proszę wpuścić.

Okno się otworzyło. Rozległo się człapanie bosych nóg po izbie. Skrzypnęły drzwi.

— Kto?

— Mazur z Lipowa.

— To z zagranicy.

— Tak.

— Czego?

— Przyszedłem dowiedzieć się czegoś o polskich sprawach.

— To jest wedle tego plebiscytu?

— Tak.

— No, to chodźcie. Prześpicie się jeszcze do rana. W dzień zaprowadzę do Komitetu Mazurskiego, co to jest w Szczuczynie.

Zestawił dwie ławy koło pieca, rzucił na nie kożuch barani.

— Prześpicie jakoś. Dobranoc.

* * *

Byłem w miejscowym komitecie plebiscytowym, których na pograniczu jest sporo. Ludność interesuje się bardzo sprawą plebiscytu, jest usposobiona do nas nadzwyczaj przychylnie i chętnie składa ofiary na fundusz plebiscytowy, pomimo wyniszczenia wojennego. Ale poza tym w niczym pomóc nie może. Tylko na często odbywających się wiecach i zebraniach żąda z całą stanowczością przyłączenia Mazur do Polski.

W komitecie otrzymałem sporo broszur i ulotek propagandowych. Prezes witał mię czule i z radością i z wielkim zainteresowaniem wypytywał o szczegóły akcji na naszym terenie. Obiecał, w miarę możności zasilić nas swą lekturą. Na odchodnym prosił, bym poinformował ludność mazurską o serdecznej sympatii, jaką jest darzona ze strony bratniej ludności polskiej. Zaprosił też na przedstawienie w szkole pogranicznej w Czarnówku, które miało się odbyć wieczorem. Spodziewano się też przybycia Mazurów z za kordonu.

Przedstawienie wypadło imponująco. Po raz pierwszy słyszałem język polski ze sceny. Później były pieśni patriotyczne i przemówienia. O zmroku przekradło się z Prus kilku Mazurów. I oni byli zachwyceni widowiskiem.

A gdyśmy odchodzili, rozczuleni Polacy wołali:

(Dokończenie na str. 4)

Rys. Marian Wyrożemski

brzoza

z II. księgi

po środku schronu, — rozmowa o niemieckiej strategii zawsze powodowała wybuchy nieopanowanego gniewu. I w tym momencie Brancew, jak to się jemu wydawało, po raz pierwszy ujrzał dowódcę pułku w całej jego duchowej nagości: natura czynna, i gniewny, i tak, jak on, gorący...

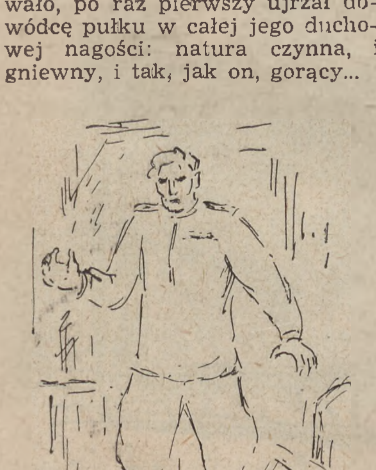

— A, wstrętni doktrynerzy! — krzyknął Ozierow, wymachując ręką w powietrzu tak, jakby chwytał kogoś za gardło. — Niech sobie, głupcy, uważają za słuszne, to, co wymyślili! Niech się cieszą! To będzie jedna, z wielu i nie ostatnia ich omyłka w czasie wojny. Za nią zapłacą oni krwią własną. Skąd oni, ciężko myślący, byliby w stanie domyślić się, że my od dawna już czynimy przygotowania do natarcia? Oni tego z całą pewnością nie wiedzą.

Chwycił stołek i rzucił go w kąt, sam zaś patrząc w twarz Brancewa, i, zdawszy sobie sprawę z tego, że nawet w pierwszych chwilach rozmowy z komisarzem nie opanował się, mówił dalej ciszej i spokojniej:

— A nasi ludzie nieustannie myśleli o natarciu! Ustępujący ze swojej ziemi, odwracali się i rozglądali się w terenie, aby się zorientować, z której strony skuteczniej natarcie, kiedy nadejdzie czas. Jeden mój obserwator zapomniał kiedyś na drzewie swoje binokle. Powiesił na sęczku i w pośpiechu zapomniał je zabrać. Potem powiedział: „Towarzyszu majorze, jak tylko wrócimy, znajdę je napewno". Innym razem zauważyłem żołnierzy, którzy zajęci byli zakopywaniem beczki. Okazało się, że beczka jest pełna benzyny, i, że nie ma jak jej zabrać... „Towarzyszu majorze, — mówią żołnierze — niechaj tu leży, jak wrócimy łatwo odnajdziemy". Ależ i ja sam — często mi się to zdarzało — w czasie walki obronnej, kiedy muszę zdecydować, dokąd odprowadzić pułk, zapominam się i, siedząc nad mapą, wyobrażam sobie skąd i jak można będzie rozpocząć natarcie... I to w najcięższym momencie... Myśl o natarciu stale żyła w naszych sercach, duchowo jesteśmy dawno już gotowi do natarcia. A w tym właśnie tkwi podstawa wszelkich przygotowań. Wszystko, co poza tym potrzebne jest do natarcia, zrobimy szybko. O nowych oddziałach mówić nie warto. Mogą wejść do akcji wprost z marszu. A Niemcy tego nie wiedzą? Co oni w ogóle wiedzą?

Ozierow szybko wstał i, znów nie mogąc opanować się, zakończył gwałtownie i gniewnie:

— Oni wiedzą jedno, że przejście od obrony do natarcia jest trudnym i skomplikowanym manewrem. Świetnie nauczyli się tego wszystkiego, co sami wymyślili. Ale ci przemądrzali stratedzy szybko się dowiedzą, że wojennej rzeczywistości nie można tak wysiadywać, jak jajek! Dowiedzą się, że my mamy inne zapatrywania na sposób prowadzenia wojny. Przekleną swoją strategię!

Major Ozierow wiedział, że każdy komisarz przede wszystkim interesuje się stanem moralnym oddziału i tym, jak jest postawiona polityczna robota. Od tego też zaczął Ozierow swoje opowiadanie o pułku. Ale Brancew, o dziwo, poprosił najpierw o przedstawienie mu planu obrony, o opisanie mu składu dowództwa, o opisanie gotowości bojowej poszczególnych pododdziałów i wreszcie o poinformowanie go o tym, jakie bitwy musiał pułk stoczyć w ostatnich dniach. Tak więc szybko poznawszy stan bojowy pułku, zajął się wszelkimi drobiazgami: w jakim stanie broń ręczna i maszynowa, czy dosyć jest zimowego smaru, jak pracują warsztaty, jakimi środkami transportowymi pułk dysponuje, jaki jest zapas kabla telefonicznego, gdzie można dostać narty?... W rozmowie tej o sprawach czysto wojskowych komisarz wykazał wielką znajomość przedmiotu. Wprawdzie czuło się, że on nie tylko doskonale zna regulamin służby polowej i nie przeoczył jego komentarzy, ale ma nie mało swoich, nieraz oryginalnych, zapatrywań na sztukę wojenną. Ozierow był ostatecznie pogrążony w rozmowie, kiedy Brancew, zaczynając rozmowę o robotach inżynieryjnych, rozwiązał swój woreczek z rzeczami i wyjął paczkę książek i broszur, dotyczących różnych zagadnień sztuki wojennej; książek tych było conajmniej tyle, ile literatury politycznej.

— Czy wy, towarzyszu komisarzu, nie byliście przypadkiem dowódcą liniowym? — zapytał Ozierow, przeglądając książki.

— Niestety nie.

— A z was, towarzyszu, mógłby być dobry dowódca liniowy.

— Możliwe, — śmiało odpowiedział Brancew.

Wreszcie przyszła kolej na zaznajomienie komisarza ze sprawami, które bezpośrednio jego tyczyły. Ozierow umyślnie zaczął o nich opowiadać szczegółowo, bardziej drobiazgowo, niż najpierw zamierzał opowiadać, — w ten sposób chciał on podkreślić fakt, że od tego wkracza w zakres jego pracy, jako komisarz pułku. Ozierow szeroko opowiedział o politycznym składzie pułku, o tym, jak się spełnia swoje obowiązki w czasie walki, o tym, czego brakuje niektórym politycznym pracownikom, aby w pełni sprostać roli wodza armii. Opowiedział o pracy organizacji partyjnej, o jej wpływie w pułku, o zachowaniu się komunistów, którzy stali się kierownikami żołnierzy w bitwie. Brancew słuchał jego opowiadania z uwagą, a nawet z pewnym zdziwieniem, zapisując rzeczy ważniejsze.

— Sergiuszu Michałowiczu, — powiedział komisarz, kiedy Ozierow skończył opowiadanie, — toć muszę was z kolei zapytać, czyście przypadkiem nie byli przed tym komisarzem?

— Nigdy.

— A moglibyście być niezłym komisarzem!

— Nie, nie wydaje mi się... — szczerze odrzekł Ozierow.

Wkrótce wyszli do pierwszych linii. Szli, to kręto wijącymi się okopami, to otwartymi miejscami dookoła ośrodka obrony, obsadzonego przez batalion kapitana Szarakszana. Odwiedzili wiele stanowisk i bunkrów, byli na punktach obserwacyjnych i na stanowiskach broni maszynowej. W niskich podziemnych pomieszczeniach siadali w kucki, palili papierosy z żołnierzami, komunikowali im ostatnie nowiny z gazet, wysłuchiwali ich skarg i narzekań, jednych dobrotliwie upominali, innych uświadamiali i podtrzymywali na duchu... I bardzo często żołnierze widzieli swoich dowódców w białych okryciach, wychodzących na pagórki albo z gęstwiny leśnej na otwarte pole i długo obserwujących na zachodzie położenie kraju na wprost. Żołnierze śledzili każdy ich ruch.

— Ciągle obserwują?

—Tak, obserwują.

— No, daj Boże!

Na zachodzie panowała śmiertelna cisza. I wszystko było tam naznaczone jakby pieczęcią śmierci. Wioseczka na stoku wzgórza robiła wrażenie kupy kamiennych brył, porozrzucanych wybuchem wulkanu. Małe laski jodłowe, otaczające wioskę, podobne były do mrocznych, opuszczonych cmentarzy. Poruszony wiatrem śnieg leciał po równinie, jak popiół z pogorzeliska. A jakby na przydymionym horyzoncie, wróżącym niepogodę, zachód rozlewał się po ziemi w kształcie ogromnej rudej pożogi.

Z rosyjskiego spolszczył
Józef Bielicki

Odwiedziny we Lwówku

Romantyczny zaułek

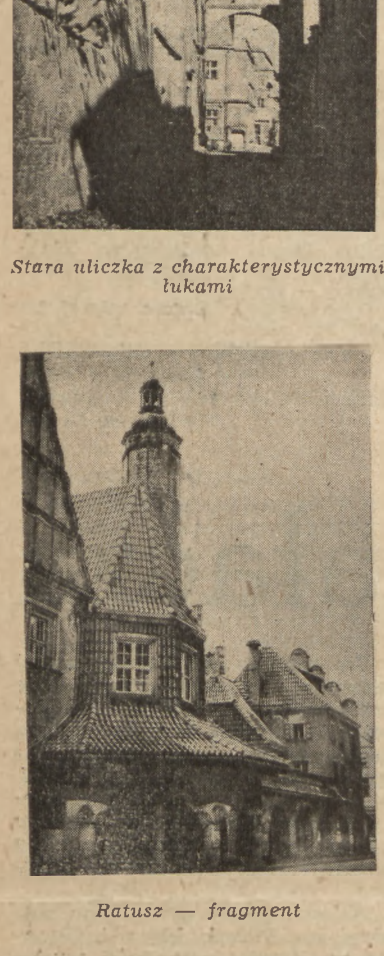
Stara uliczka z charakterystycznymi łukami

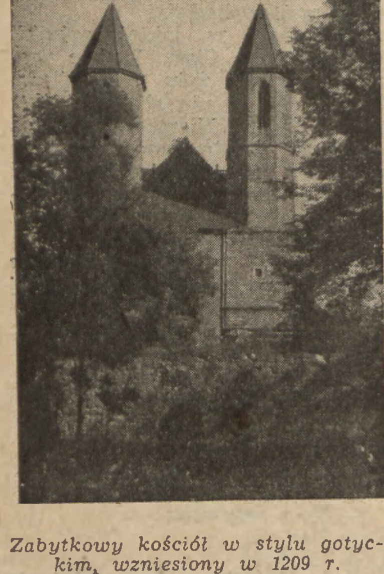
Ratusz — fragment

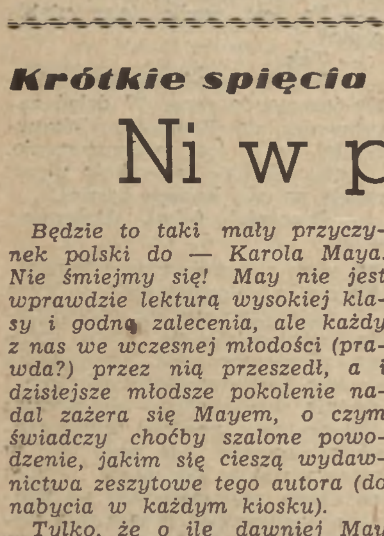
Zabytkowy kościół w stylu gotyckim, wzniesiony w 1209 r.
Fot. Tadeusz M. Sierosławski

Wśród czasopism

Z początkiem kwietnia dopełniła się trójca naszych wielkich jubileuszów romantycznych. Do rocznic Mickiewicza i Chopina doszła setna rocznica zgonu Juliusza Słowackiego. Podczas gdy wyprzedzające właściwą datę chopinowską obchody i koncerty nabrały takiego rozmachu i wystąpiły w takiej ilości, że pojawiły się głosy protestujące przeciw ich nieprzemyślanemu nadmiarowi, rocznice Mickiewicza i Słowackiego, uroczyście i pięknie zainaugurowane. są w swym przebiegu znacznie skromniejsze. Akademie, wieczory literackie a nawet kilkadziesiąt artykułów przyniesionych przez prasę literacką i codzienną to forma uczczenia poetów nietrwała i przelotna. Forma to przy tym niewdzięczna. W tych gorących, rozpędzonych i obfitujących w doniosłe wydarzenia czasach, uwaga nasza ślizga się tylko po tego rodzaju literackich wydarzeniach, upamiętnianych w sposób, do którego przywykliśmy nie tylko co niedziela, lecz niemal na co dzień. Mickiewiczowi szykuje się pomnik. Ma go odzyskać na dawnym miejscu i w dawnym wyglądzie Warszawa, ma go również otrzymać Kraków, nad czym toczy się dyskusja w *Dzienniku Literackim*, gdzie górę bierze opinia domagająca się wileńskiego kształtu pomnika dłuta Zbigniewa Pronaszki i ustawienia go w najbardziej reprezentacyjnej dzielnicy nowoczesnego Krakowa na początku Błoń. Rzecz prosta, że w obecnej sytuacji naszego kraju, w okresie intensywnej odbudowy zniszczeń wojennych i rozbudowy nastawionej na praktyczną realizację socjalizmu, pomniki ku czci wielkich Polaków nie są rzeczą najpilniejszą i najważniejszą. Szkoda i żal, że ich nie mamy i w najbliższych latach mieć jeszcze nie możemy, ale musimy cierpliwie poczekać. Tym bardziej, że sprawa nie jest taka prosta, że na dobry pomnik potrzeba nie tylko pieniędzy, ale przede wszystkim — dobrego projektu. A z tymi jest u nas gorzej. Najtrwalszą natomiast formą uczczenia dwóch wielkich poetów, którzy stali się nam w ostatnich miesiącach szczególnie bliscy, jest książka. Tu jednak obydwie rocznice nie znalazły jeszcze godnego upamiętnienia. Zapowiedziana na koniec marca ekspedycja pierwszych czterech tomów narodowego wydania dzieł Mickiewicza jeszcze się chyba nie rozpoczęła. O zapowiedzianych przez Zakład Narodowy Ossolińskich wydaniach dzieł Słowackiego głucho dotychczas zupełnie. Z przygotowanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy książek biograficznych Jastruna o Mickiewiczu i Hertza o Słowackim znamy już liczne fragmenty, ale na półkach księgarskich jeszcze ich nie ma. Ukazała się wprawdzie wielka monografia Juliusza Kleinera o Mickiewiczu, wydana przez Uniwersytet Katolicki w Lublinie, ale kto zna monografię tegoż autora o Słowackim, wie, że dziś tego rodzaju ujęcie postaci i twórczości pisarza romantycznego przestało już wystarczać. No, ale mamy przed sobą jeszcze pół roku, który nazwaliśmy rokiem Mickiewicza, Słowackiego i Chopina. Miejmy więc nadzieję, że zapowiedzi wydawnicze i plany spełnią się w poważnej chociaż części. Nie można bowiem wymagać, by w roku tym ukazały się kompletne wydania tych dwóch poetów, ale domagać się należy obszernych wyborów pism i zapoczątkowania publikacji „dzieł wszystkich".

Drugą luką w tych obchodach rocznicowych jest teatr. Zapisana trwale w dziejach teatru polskiego schillerowska inscenizacja „Dziadów" wznowiona zostanie w nowym opracowaniu dopiero jesienią br. w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie. Czytaliśmy jeszcze gdzieś niezrealizowaną dotychczas zapowiedź wystawienia „Konfederatów barskich" Mickiewicza. Ale Mickiewicz właściwie zostawił nam tylko jedno wielkie dzieło dramatyczne, owe fragmentaryczne „Dziady" z doszkicowanym epicko zakończeniem, które otwiera wspaniałe perspektywy na nienapisany ciąg dalszy narodowego dramatu. Tymczasem Słowacki, to nasz pierwszy wielki dramaturg i zarazem w dziejach dramatu polskiego pozycja jedna ze szczytowych. Po wojnie Kraków i Warszawa ujrzały piękne realizacje „Fantazego". Stary Teatr w Krakowie wystawił jeszcze młodzieńczą „Marię Stuart". I zdaje się, na tym narazie koniec. Leon Schiller zapowiedział jeszcze „Złotą Czaszkę". Teatr Rapsodyczny Kotlarczyka w Krakowie, który od Słowackiego zaczynał swe okupacyjne dzieje, też pozostanie chyba wierny swemu poecie. Ale to wszystko chyba jeszcze za mało jak na wielkiego pisarza dramatycznego i jak na wielką rocznicę. „Lilla Weneda" na scenie Teatru Polskiego w Warszawie nie rozgrzewała już widzów, ale gdzie jest w roku Słowackiego „Kordian", gdzie grana dotychczas tylko w teatrach prowincjonalnych „Balladyna", gdzie „Mazepa"? Tylko Polskie Radio pomyślało o tej dziedzinie twórczości Słowackiego, dając doskonale wykonane radiofonizacje „Kordiana" i „Mazepy". Słuchając tych skrótów można się było rozkoszować nie tylko poezją Słowackiego, ale i dramatyczną siłą, która bije ze stwarzanych przez niego postaci i sytuacji. I trzeba było myśleć z żalem, że teatry polskie starają się zapomnieć o pisarzu, któremu tak wiele zawdzięczają.

Wobec tych braków w obchodzie setnej rocznicy śmierci Słowackiego (braków, które zapewne zostaną jeszcze wyrównane) z tym większym zainteresowaniem śledzić trzeba pomniejsze formy tego obchodu. I tu znów przychodzi nam podkreślić zasługę *Kuźnicy*, która jedyna wystąpiła z numerem specjalnym poświęconym poecie (nr 13) i to z numerem bardzo dobrym, potwierdzając w ten sposób utrwalającą się już o tym piśmie opinię najlepszego tygodnika literackiego w Polsce. T. zw. „nowe spojrzenie" na Słowackiego znalazło w tym numerze interesujący i przekonujący wyraz. Z tego, co piszą tam Leon Przemski, Jastrun, Iwaszkiewicz, Hertz, Seweryn Pollak, wygląda ku nam Słowacki, jeśli nie nowy, to odświeżony, żywszy i jakoś serdecznie bliski temu, co myślimy i czego pragniemy. Dostrzegamy wyraźniej niż dotychczas prócz wielkiego i świetnego artysty człowieka, myśliciela, ideologa i bojownika. Rozwiewają się parnasowe mgławice rozsnute wokół Słowackiego przez Młodą Polskę. Słowacki w tę rocznicę staje wśród nas, staje tak samo jak Mickiewicz.

Na zakończenie drobna uwaga. Rozgłośnia katowicka Polskiego Radia zapragnęła dorzucić też swoją cegiełkę do uczczenia rocznic romantycznych. Nadała więc niedawno w programie lokalnym „felieton literacki" p. Jadwigi Kozłowskiej „Chopin i Słowacki". Pomijam bezcelowość takiej audycji (powierzchownej i mętnej) w programie lokalnym, skoro tylu kompetentnych ludzi zabierało głos o Chopinie i Słowackim na antenie ogólnopolskiej. Ale autorce chcę polecić lekturę wspomnianego numeru *Kuźnicy*. Jest tam artykuł Janiny Kulczyckiej - Saloni o Euzebiuszu Słowackim, ojcu Juliusza. Wcale obszerny. A p. Kozłowska twierdzi, że nic o Euzebiuszu nie wiadomo, że historia literatury obeszła się z nim „po macoszemu". Trudno takie zdanie określić inaczej niż nieuctwo, skoro każdy obszerniejszy podręcznik historii literatury informuje dostatecznie o zasłużonym i pracowitym ojcu poety. Jego życiorys i bibliografia zajmuje u Korbuta *tylko* dwie całe strony. Uczciwemu „felietoniście literackiemu" wystarczyłoby poza tym przeczytanie odpowiedniego rozdziału w drugim tomie „Stu lat myśli polskiej". (ki)

Kalendarium stuletnie

DZIENNIK
Górno-Szlązki.

Nr 80

DNIA 14 MARCA 1849 R.

Bytom, dn. 11 Marca. Dziś o godzinie 1 jak to zapowiedziano odbyło się 2 posiedzenie Towarzystwa pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego. Przewodniczący Towarzystwa Pan Karol Kosicki nie był obecnym. Zgromadzenie było nadspodziewanie liczne. — Nie było wprawdzie księży ani nauczycieli, ale natomiast ze zdziwieniem zobaczyliśmy kilku mieszczan (bürgerów), którzy zwykle rzadkimi są w zgromadzeniach gośćmi. Dzięki im za to, że się do spraw ogół obchodzących i oni mieszać poczynają! Zastępujący przewodniczącego Naucz. Smołka zdał sprawę z dotychczasowych czynności Towarzystwa, nadto rachunek z pieniędzy składkowych i dochodów, wydatków i stanu czyteln.

Czytelnia Bytomska liczy do 400 dzieł. Przychód z wnoszonej jako składka od czytelników miesięcznej dawki (1 czeski), wynosił od 1 października aż dotąd przeszło 8 talarów, które na oprawę i zakupienie nowych ksiąg przeznaczone były.

Po tem sprawozdaniu wyjaśnił przewodniczący słuchaczom i członkom, jak ważnym jest dla nas Polskich-Ślązaków 47 paragraf praw zasadniczych uchwalonych przez sejm frankfurtski. Paragraf ten nadaje nam wolne używanie naszej polskiej narodowości, a zatem na mocy tegoż prawa możemy osiągnąć szkoły, urzędy i amtsblaty polskie. Nie osiągniemy jednak tego, jeśli się o wprowadzenie tego prawa w istocie nie upomnimy. Oznajmił więc, że dyrekcya Towarzystwa zajęła się już sporządzeniem i wydrukowaniem petycyi do Najjaśniejszego Króla i zgromadzenia narodowego, i że petycye już gminom niektórym do podpisu rozesłane zostały. Prosił więc członków Towarzystwa, aby się rozpowszechnieniem tych petycyi między ludem zajęli. Wreszcie przy końcu posiedzenia przystępowali do Towarzystwa nowi członkowie.

Pracujcie! a dopominajcie się o prawo jakie wam 47 § wspomniany nadaje. Pracujcie! bo bez prace nie będą kołacze! Adres ten do Najjaśniejszego Króla i do sejmu podać się mający jest następujący:

WYSOKIE ZGROMADZENIE NARODOWE!

Już kilka miesięcy upłynęło, gdy na wniosek deputowanego Marka sejm Frankfurtski orzekł, że wszystkie narodowości w granicach związku niemieckiego znajdujące się szanowane być mają i równe obsiągną prawa z Niemcami, a teraz § 47 praw zasadniczych toż nam zaręczył. Lecz u nas Górnośląskich Polaków, tutejszych rodaków, wszystkie jeszcze przy starem, aż dotąd zostało. Upraszamy więc najuniżeniej wysokie zgromadzenie narodowe o wzgląd na ten uciemiężający nas stan rzeczy, prosimy o współprawnienie z niemieckiemi ziomkami naszymi w urzędach, w sądach i w szkole, ażebyśmy odtąd nie tylko tolerowanymi byli, lecz równe z niemi obsiągali prawa. Zaufani w sprawiedliwości wysokiego zgromadzenia narodowego oczekujemy sprawdzenia prośby naszej z przekonaniem, że nam odmówioną nie zostanie.

(Miano gminy) (tu podpisy)

Podobnaż adresa wydrukowana jest i do Króla. Teraz więc na te adresa trzeba zebrać najwięcej podpisów, aby się w sejmie dowiedzieli, że nas tu Śląskich Polaków jest niemało kroćset tysięcy.

Niech więc każda gmina osobiście, lub pocztą frej zgłasza się po te adresa, czyli petycye do zastępcy przewodniczącego w Towarzy. prac. dla ludu. P. Nauczyciela Smołki w Bytomiu, a gdy już wszystkie gminy toż podanie podpiszą wtedy odeszle się do naszego Króla i do Komór. Jeśli w tej sprawie nie będziecie leniwemi, a wiela podpisów się znajdzie to dostaniemy niezawodnie polskie szkoły, sądy i amtsblaty. Jeśli zaś zaniedbacie, to jak dawniej tak i teraz psinco mieć będziemy.

Kiedy chciałoby się sprawiedliwą miarą oceniać owo zebranie i wartość Towarzystwa, to jeszcze raz przypomnieć warto, że te skromne początki ruchu narodowego na Śląsku organizowali prawdziwi demokraci, pochodzenia wiejskiego lub robotniczego. Przywódcami nie byli tutaj ani postępowi pisarze jak Berwiński ani działacze pochodzenia arystokratycznego jak Dembowski. Działali Ślązacy ci z trudem właśnie douczający się polskiego literackiego języka i zachłannie zbierający argumenty za łącznością swojej ziemi z Polską.

Ów działający aktyw nie wiązał się z żadną instytucją: działaczy nie dostarczało ani duchowieństwo ani szkolnictwo. Wita się jako nowych sympatyków mieszczan (prawdopodobnie zamożniejszych). Ale krótka notatka o składzie zebranych pozwala wnioskować, że działaczami oświatowo-politycznymi byli rolnicy, robotnicy, drobni handlarze. Trudno określić jaką rolę odgrywał tam naprawdę dziedzic Wilkowic, Karol Kosicki, przewodniczący Towarzystwa (był zresztą na zebraniu, tylko znacznie spóźniony, jak skrupulatnie zaznaczono w następnym numerze Dziennika). Przebieg zebrania i jego rezultat jest bardzo charakterystyczny. Sprawa czytelni bytomskiej zajmuje nie tak wiele miejsca, następuje agitacja za trzema celami, celami konkretnymi, dobrze wyodrębnionymi, możliwymi do osiągnięcia na drodze prawnej: zdobycie polskich szkół, sądów i dzienników zarządzeń. Pomysł wydrukowania i rozesłania petycji (sprawa jest przemyślana w szczegółach działania) ma jeszcze nadto conajmniej dwa ukryte cele: policzyć ilekroć sto tysięcy liczy żywioł polski na Śląsku, oraz stwarzać nową sytuację: Polacy stanowią siłę, której w polityce przemilczeć nie będzie wolno. Nie wystarczy tolerować — trzeba będzie uznać za partnera.

W ten sposób więc działacze śląscy przechodzili od liczenia książek i gazet do wielkiej gry politycznej, którą miało następne pokolenie wygrać.

Zaznaczyć warto, że Towarzystwo walkę o równouprawnienie wypisało jawnie w swoim statucie, od samego początku działalności polityka nie była mu obca.

W 28 numerze Dziennika Lompa opublikował projekt założenia towarzystwa „Autorów pism polskich dla ludu w państwie Pruskim"; pomysł był nieco dziwaczny a może i interesowny, może poprostu wynikał z zawodu i temperamentu życiowego Lompy. W nr 31 Dziennika, z dnia 20 września, nieznany korespondent oddawszy pochwały panu Lompie, „który w czasie ogólnego zamilczenia jedyny sam przemawiał w ojczystym języku do swoich rodaków — zaproponował „ustanowienie Towarzystwa ojczystego dla oświaty ludu". Wydawcy Dziennika (zmęczony widocznie trudnościami finansowymi Mierowski) dopisują: „Utrzymanie narodowości naszej — pielęgnowanie ojczystej mowy — oświecanie ludu — to pierwsze a najświętsze obowiązki nasze, a osobliwie każdego Księdza i Nauczyciela. ...dobrze by było aby Dziennik zostawał pod kierunkiem towarzystwa i był jego organem i własnością". Sprawa czyteln wraca z przedziwną regularnością na łamy Dziennika — „Aby zechcieli wytłomaczyć wieśniakom swoich gmin jak ważnem jest zakładanie po wsiach czytelni polskich, które za pośrednictwem gromad z łatwością uskutecznić się dadzą". (w nr 33 z 26.9.1848).

Konstytucyjne zebranie Towarzystwa odbyło się w Bytomiu dnia 12 listopoda 1848 r.; mimo wielokrotnej zachęty i zaprosin księża zbojkotowali całkowicie zebranie, nauczycieli stawiło się tylko dwóch! Z 13 punktów statutu najtreściwsze są pierwsze:

§ 1. Towarzystwo wszelkiemi środkami sprawy ludu górnośląskiego popierać zamierza, zostawiając w granicach słuszności i sprawiedliwości.

§ 2. Za cel główny Towarzystwo stanowi: a) żądanie uprawnienia narodowości słowiańskiej z Niemiecką w rządzie, sądzie i szkole, b) popieranie oświaty ludu szlązkiego i polskiej mowy.

§ 3. W tym celu, korzystając z prawa wolności stowarzyszeń i druku Towarzystwo starać się będzie: o założenie podobnych towarzystw po innych częściach ziemi szlązkiej, o rozszerzenie mowy polskiej, używając jej do rozmów towarzyskich, o urządzenie Czytelni dla ludu wreszcie o jak najczestsze używanie języka polskiego w piśmie tak w sprawach prywatnych jak do rządu. Organem swoim tymczasowym oznacza Towawarzystwo: Dziennik górnoszlązki.

§ 4. O ile czas i okoliczności pozwolą winien każdy Członek rodakom swoim dopomagać przez pośrednictwo i przyłożenie się, szczególniej w tłomaczeniu stronom, osobliwie dziś w tak częstych a zawikłanych zmianach praw krajowych, pomoc w wyjaśnianiu spraw sądowych...

Statut nie był tylko literą — jednocześnie otwiera się w Bytomiu (przygotowaną uprzednio!) czytelnię o 200 tomach i czytelnię czasopism w której ciekawi czytać mogli: „Tygodnik katolicki" z Piekar, „Tygodnik" cieszyński, „Przegląd" z Krakowa, „Szkółkę narodowa" z Chełma a i Demokratę polskiego z Paryża! Książkami opiekował się Smołka a zbiór powstał drogą darów. Obok wymienionych ofiarodawców np.: Kosickiego, Lompy, ob. Juliana Kamieńskiego ze Lwowa, ob. Bierkowskiego profes. Wszech. Krakow., notujemy kilkadziesiąt pozycji z Wrocławia, dwukrotnie z Mysłowic. Niestety nasze marcowe sprawozdanie nie podało cyfr dla czyteln w Rybniku, Mysłowicach, Lubszy, Woźnikach, Lublińcu. Tak obok Bytomia mnożyły się biblioteki Towarzystwa, wzrastał posiew. Rosła powoli siła, której nie mógł dać rady ani Żelazny Kanclerz ani partia narodowo-socjalistyczna.

Podała **Agata Kajzerek**

Międzynarodowa muzyka
w Berlinie

Z niezwykłą serdecznością przyjmowali muzycy berlińscy PAWŁA HINDEMITHA, którego dwunastoletni pobyt w Ameryce nie potrafił zmienić. Wielki ten kompozytor, w chwilę po opuszczeniu samolotu, miał odczyt w przepełnionej sali wyższej szkoły muzycznej. Mówił na temat zawsze aktualny i interesujący: Żywa historia muzyki jako środek wychowania kompozytora. Krótko przed przybyciem Hindemitha do Berlina na ten sam temat wygłosił odczyt HANS EISLER w sali uniwersytetu Humboldta, we wschodniej części miasta.

Sezon koncertowy ostatnio był bardzo ożywiony. Pod batutą znanego dyrygenta Hermana Schrechena odbyły się koncerty filharmoników berlińskich i orkiestry symfonicznej radia berlińskiego. Wykonano „Furioso" Szwajcara Rolfa Liebermana. Wrażenie wywołane tym utworem można by określić jako zainteresowanie graniczące z pewnym zadziwieniem. Dużym sukcesem cieszył się koncert pod kierunkiem przebywającego stale w Brukseli dyrygenta, Polaka — ERNESTA BORSAMSKIEGO. Krytycy pisali: „Nigdy nie słyszano tutaj bardziej precyzyjnie wykonanego „Ognistego Ptaka" Strawińskiego i „Dafnis i Chloe" Ravela. Z Krakowa przybył senior polskich dyrygentów GRZEGORZ FITELBERG z świetną skrzypaczką EUGENIĄ UMIŃSKĄ, która niezrównanie wykonała niezwykle trudny koncert Nr I Karola Szymanowskiego. Fitelberg, na czele orkiestry filharmoników berlińskich, odniósł ogromny sukces wykonując w sposób pozbawiony wszelkiego sztucznego patosu czwartą symfonię Brahmsa.

Z wielkich wirtuozów słyszano tu czelistę PAULA TORTELIER z Paryża, który wykonał z finezją i wytwornością koncert Lalo przy akompaniamencie orkiestry pod batutą znanego dyrygenta Sergiu Celibidache. Równocześnie z czelistą przybył do Berlina znany skrzypek węgierski E. ZATURECKY, na program którego złożyły się między innymi: koncert Beli Bartoka, utwory Corelliego i kompozycje młodego Węgra Sandora Verress.

W amerykańskim sektorze Berlina odbył się koncert orkiestry RIAS (Rundfunk im amerikanischen Sektor) z solistą PIOTREM STADLENEM, który wykonał koncert fortepianowy Arnolda Schoenberga. Koncert ten był wykonany po raz pierwszy i zapoznał słuchaczy z nieprzeciętną kompozycją i niezrównanym interpretatorem. Solista wykazał również wysoki artyzm w wykonaniu dzieł Mozarta. Doskonale spisała się orkiestra pod dyrekcją WINFRIEDA ZILLIGSA, jakkolwiek całkowita rozbieżność między głosami poszczególnych instrumentów i partyturą solisty w koncercie Schoenberga nastręczała duże trudności.

W lecie roku 1948 powstała w Amsterdamie niemiecka sekcja Międzynarodowego Towarzystwa Nowoczesnej Muzyki z siedzibą w Berlinie. Założycielami towarzystwa są HEINZ TIESSEN, BORIS BLACHER i inni. Sekcja rozpoczęła swoją działalność w grudniu i styczniu dwoma koncertami kameralnymi, na program których — prócz „klasycznych" dzieł Strawińskiego, Schoenberga i Poulenca — złożyły się również rzeczy całkim nowe. Wykonano genialnie abstrakcyjną sonatę Ernesta Kreneka, rytmiczną sonatę na skrzypce i fortepian Blachera, sonaty fortepianowe Jerzego Ranki (Budapeszt) i piękne trio na harfy Jaques Iberta. Z wykonawców ponadto wyróżnili się pianiści GERTY HERZOG i KLAUS BILLING, śpiewaczka MARGOT LEFEBRE oraz skrzypek PAUL RICHARTS. (STETE.)

Słowackie powojenne przekłady
z polskiego

Od 7 do 14 marca odbywał się u nas Tydzień Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. W tygodniu tym prasa polska wiele pisała o Czechosłowacji, a nawet niektóre czasopisma wydały specjalne numery poświęcone kulturom dwu bratnich narodów słowiańskich.

W tym samym tygodniu prasa czeska i słowacka — pisała wiele o kulturze i życiu Polski a niektóre pisma też poświęciły nam numery specjalne.

Bratysławski tygodnik „Zivot" poświęcił cały numer Polsce.

W numerze tym Julo Horwath i Miro Hysko piszą o Polsce w bardzo serdecznych i ciepłych słowach. Z nazwisk polskich znachodzimy tam: **Wojciecha Bąka** („Feliks"), **Henryka Sienkiewicza** („Janko Muzykant"), **Stefana Kwaśniewskiego** (humoreska), **Jerzego Andrzejewskiego** („Przed sądem"), **Juliana Przybosia** (wiersz „Póki my żyjemy" w przekładzie Pawła Bunczaka), **Magdaleny Samozwaniec** (humoreska), **Kazimierza Tetmajera** („Róża"), **Juliana Tuwima** („Z notatnika"), oraz wiele krótkich informacji ze wszystkich dziedzin naszego życia. Między innymi znajdujemy w tym numerze zestawienie wszystkich przekładów (książek) z języka polskiego, które się ukazały po wojnie. Ponieważ może to zainteresować Czytelnika polskiego podajemy in extenso to zestawienie.

1945

Zofia Kossak-Szczucka: Bez oręża. (Bez zbrane) [1]). Dwa tomy. **Przełożył Mikulasz Stano.** Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1945. Stron, tom I. — 213, t. II. — 195.

1946

Jan Grabowski: Puc, bursztyn i goście. Przełożył A. Ch. Urpin. Kremnica, wyd. Priatel Dietok 1946. Stron 116.

Michalina Mossoczowa: Za tysiąc lat. Sny młodego idealisty o przyszłości. **Przełożył Matej Zatko.** II wydanie. Trnava, wyd. Spolok sv. Vojtecha 1946. Stron 142.

Zofia Nałkowska: Granica. Przełożyła Maria Babiakowa-Bajowa. Bratysława, Nowa Doba 1946. Stron 236.

Maria Rodziewiczówna: Dewajtis. II wydanie. **Przełożyła Paula Beckowa.** Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1946. Stron 289.

1947

Adam Mickiewicz: Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego z r. 1832. Przełożył Matusz Zjara. Koszyce wyd. Verbum 1947. Stron 119.

Mira Wiśniewska: Marmotek z gór. (Hvizdacik). **Przełożyła Maria Babiakowa-Bajowa.** Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1947. Stron 111.

Ewa Szelburg-Zarembina: Wędrówka Joanny (Janino putovanie). **Przełożyła Maria Babiakowa-Bajowa.** Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1947. Stron 320.

Ewa Szelburg-Zarembina: Ludzie z wosku. Przełożyła Maria Babiakowa-Bajowa. Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1947. Stron 289.

Herminia Muhlenowa: Co opowiadają przyjaciele Pietrka. Przełożyła F. Swajdlerowa. Bratysława 1947. Wydała Prawda. Stron 42-III.

Janina Porazińska: Weseli żacy. Przełożyła P. C. Skalanowicz. Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1947. Str. 189.

Ferdynand Antoni Ossendowski: Mali zwycięzcy. Przełożył Mikulasz Stano. Bratysława, J. Horaczek 1947. Stron 135.

Zofia Kossak-Szczucka: Szaleńcy Boży. Przełożył Mikulasz Stano. Bratysława, J. Horaczek 1947. Stron 184.

F. A. Ossendowski: Życie w dżungli. Przełożył L. Randowsky. Bratysława, Buocik 1947. Stron 159.

1948

Hanna Malewska: Kamienie wołać będą. Przełożył Stefan Koperdan. Koszyce, wyd. Verbum 1948. Stron 374.

Stefania Wandyczowa: Maciuś i krasnoludki. Przełożył Stefan Hoza. Bratysława, J. Horaczek 1948. Str. 53.

Józef Ignacy Kraszewski: Stara baśń. Przełożyła Dr. Helena Turcerowa Deweczkowa. Liptowski Sv. Mikulasz, wyd. Tranoscius 1948.

Maria Czeska-Mączyńska: Rycerz Chrystusa. Przełożył Sztewo Schultz. Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1948. Stron 192.

Jan Wiktor: Orka na ugorze. (Plemeno Kainovo). **Przełożyła Maria Babiakowa-Bajowa.** Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1948. Stron 301.

Jan Wiktor: Skrzydlaty mnich (Okridleny mnich). **Przełożyła Maria Babiakowa-Bajowa.** Turciansky Sv. Martin, Matica Slovenska, 1948. Stron 322.

Jan Dobraczyński: W rozwalonym domu. Przełożył Mikulasz Stano. Trnava Spolok sv. Vojtecha 1948. Stron 245.

Zofia Nałkowska: Dom nad łąkami. Przełożyła Maria Babiakowa-Bajowa. Turciansky Sv. Martin, Matica Slovenska 1948. Stron 115.

Jerzy Zawieyski: Rozdroże miłości. Przełożył Rudolf Zatko. Koszyce, wyd. Verbum 1948. Stron 93.

Helena Bobińska: Zemsta Kabunarego. Przełożyła F. Swajdlerowa i J. Moser. Bratysława, Prawda 1948. Stron 251.

Kazimierz Konarski: Dzieci słońca. Przełożył J. I. Junas. Turciansky Sv. Martin, Matica Slovenska 1948. Stron 73.

Adam Mickiewicz: Poezje. Przełożył Andrzej Zarnow. Słowo wstępne i objaśnienia J. Ambrusza. Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1948. Stron —.

L. H. Morstin: Kopernik. Przełożył Andrzej Zarnow. Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1948. Stron 213.

Henryk Sienkiewicz: Quo vadis? Przełożył Mikulasz Stano. Dwa tomy. Drugie wydanie. Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1948. Stron t. I — 306, t. II — 332.

Henryk Sienkiewicz: Krzyżacy. Przełożył A. G. Trnava, Spolok sv. Vojtecha 1948. Dwa tomy. Stron t. I. — 389, t. II. — 395.

Literatura polska zdobyła sobie uznanie i sympatię czytelnika słowackiego i będzie jednym z najważniejszych pomostów wzajemnego poznawania się i pogłębiania przyjaźni polsko-słowackiej.

JÓZEF BOJAR.

---

[1]) W nawiasach podałem niektóre tytuły przekładów w brzmieniu słowackim, a zwłaszcza te, które uległy gruntownej zmianie w przekładzie.

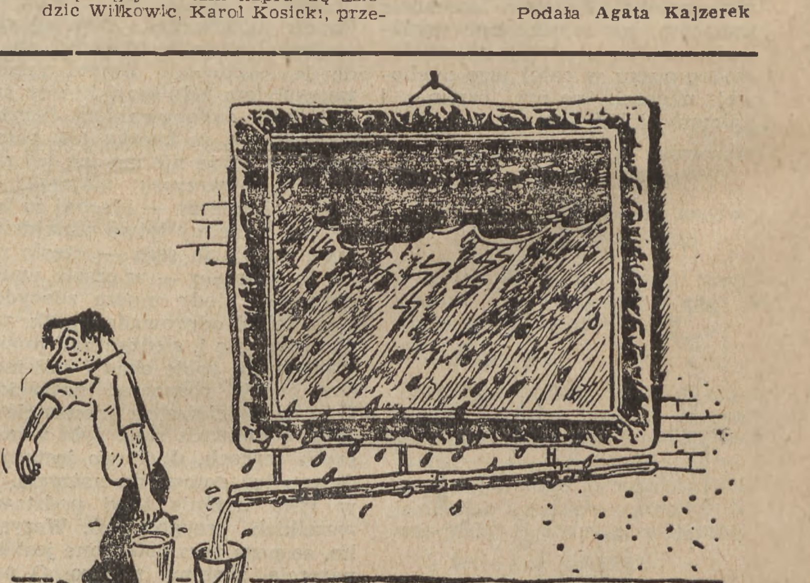
Nadrealizm

Krótkie spięcia

Ni w pięć ni w dziesięć

Będzie to taki mały przyczynek polski do — Karola Maya. Nie śmiejmy się! May nie jest wprawdzie lekturą wysokiej klasy i godną zalecenia, ale każdy z nas we wczesnej młodości (prawda?) przez nią przeszedł, a i dzisiejsze młodsze pokolenie nadal zażera się Mayem, o czym świadczy choćby szalone powodzenie, jakim się cieszą wydawnictwa zeszytowe tego autora (do nabycia w każdym kiosku).

Tylko, że o ile dawniej May wychodził w porządnych tomach i w jakim takim uczciwym tłumaczeniu, to dziś owe zeszyty, będące właściwie jakimiś widzimisiowskimi skrótami, wołają często gęsto o pomstę do nieba swoim rozpaczliwym językiem.

Ale nie w tym rzecz. Sprawa polega na tym, skąd po dziś dzień ów cały May cieszy się właściwie na całym świecie takim powodzeniem? Był to przecież grafoman najczystszej wody, a przygody jego bohaterów pierwszoplanowych, czyli po prostu jego własnej osoby, używającej raz takiego a raz innego nazwiska, były zawsze przygodami tak nieprawdopodobnymi, że aż komicznymi. Ten cały Old Shatterhand, czy Kara Ben Nemzi, czy jeszcze inaczej się nazywający facet (w powieściach niepisanych w pierwszej osobie) tak stale się powtarzał w swych zwycięstwach, w wszędobylskości, w wszechumiejętności no i w humorystycznym wprost „besserwiserstwie", że stawał się beznadziejnie nudny. Żeby nie wiedzieć jaka była przygoda, ilu wrogów, i jaka najbardziej rozpaczliwa sytuacja, z góry było wiadomo, iż ten posiadacz słynnych dwóch strzelb, dwóch rewolwerów, jednego noża i jedynego w świecie rumaka (ciekawe, że on nigdy nie zdejmował butów, ani nie zmieniał koszuli) zawsze zwycięży, uwolni z opresji lekkomyślnych (naturalnie!) przyjaciół i pokona nawet sto tysięcy Indian czy dzikich Beduinów. No i też można było zawsze przewidzieć, że w tych siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu tomach przygód, jakie May popełnił, sytuacje zawarte w pierwszym tomie będą się powtarzały niezmiennie w każdym następnym.

No i co z tego?

Właśnie na tym polegał chwyt Mayowski. Człowiek ten, który zaczął po świecie podróżować dopiero wtedy, gdy już napisał wszystkie swoje powieści, — cudownie łgał. I łgał w kółko to samo oraz jak z nut, posługując się przy pisaniu atlasem i słownikami, i zupełnie mu na tym nie zależało, czy ktoś będzie sprawdzał jego wiadomości geograficzne lub lingwistyczne, czy nie.

No dobrze, ale skąd przyczynek polski do owego całego Mayowskiego „tworzywa"?

Otóż wpadł mi niedawno w ręce oryginalny tom niemiecki Maya „Im Reiche des Silbernen Löwen" („W państwie Srebrnego Lwa"), gdzie wśród wielu postaci występuje też — Polak ,osiadły w Bagdadzie, zresztą wcale sympatycznie skreślony. No i May, jak to May, który zawsze przy wszelkich obcokrajowcach, choćby to byli przedstawiciele najbardziej zapomnianego szczepu Kurdów, lubiał się popisywać słownikową wiedzą i cytować mniej lub bardziej oryginalne wyrażenia w danym języku, postanowił wsadzić w usta Polaka również i kilka wyrażeń polskich, naturalnie, jak zwykle przy mayowskiej manierze pisarskiej, — w formie zawołań wykrzyknikowych.

I cóż ten Polak nie wykrzykuje! Widocznie May miał pod ręką jakiś najpodlejszy z podłych samouczek niemiecko-polski, gdyż na jego podstawie usiłował swym czytelnikom sugerować, że Polacy, jak są podnieceni, czy wzruszeni, to wołają:

„Trzaskawica!". Albo też: „Błyskawica!" (prawdopodobnie tłumaczenie niemieckiego „Donnerwetter"). Względnie: „Niegrzecznost!" Albo też: „Do wierzynie niepodobny!" (prawdopodobnie tłumaczenie niemieckiego: „Unglaublich!"). Lub: „Boze dej ci zdrowi!". Albo: „To jest do plakania!" Itepe.

Oczywiście May już dawno umarł (w 1912 r.) i obecna krytyka jego „dzieł" nie ma wielkiego sensu. Ale przyczynek zawsze jest przyczynkiem i z tego tytułu nie od rzeczy może było przypomnieć, jak ten wielki grafoman potrafił sobie radzić z zawiłościami lingwistycznymi w podróżach, które odbywał przy — biurku.

NIEJAKI X

Pamiętniki działacza

(Dokończenie ze str. 3)

— Do zobaczenia, bracia, po plebiscycie!

— Nie dajcie się Prusakowi!

— Da Bóg, wkrótce nie będzie granicy i swobodnie będziemy odwiedzać się wzajemnie!

— Da Bóg! — odpowiedzieliśmy na pożegnanie i, pełni otuchy, skierowaliśmy się ku granicy. Duszę moją wypełniał po brzegi, niby puchar przednim winem, czar Polski prawdziwej!

* * *

Przewidywania sceptyków spełniły się. Z przybyciem Komisji Koalicyjnej absolutnie nic się nie zmieniło. Tak samo hulały bojówki niemieckie i rozbijały organizowane przez nas zebrania lub zgoła do zebrań nie dopuszczały, terroryzując właścicieli lokali. Wojska alianckie zachowywały się biernie i na ogół sprzyjały bardziej stronie niemieckiej. Zresztą było ich za mało, by opanować sytuację.

Ze wszystkich stron kraju dochodziły rozpaczliwe wieści. Ludność mazurska jęczała pod uciskiem i, jak zbawienia, wyglądała końca tej całej tragedii.

* * *

Zbliżał się dzień głosowania. Na początku maja odczuliśmy pewne podniesienie na duchu u Mazurów i konsternację wśród Niemców.

W sukcesach oręża polskiego kryła się przyczyna zmiany nastrojów.

— Wszystko być może — mówiono.

— Wojska polskie mogą zająć teren plebiscytowy.

— Niemcy mają porządnego stracha!

— Mają, albo i nie — powątpiewał któryś.

— A to nie słyszeliście, co opowiadał Dawidowski, jak Niemcy wiali niedawno z Prostek, gdy na wzgórzu, za Boguszami, ujrzeli pluton polskich ułanów. Banki, urzędy, sklepy zaczęły się ewakuować, a zwyczajna ludność uciekała, jak mogła — kto samochodem, kto końmi, a niektórzy po prostu na rowerach. Ot, jak było! Sam, na własne oczy widział.

Otucha wstąpiła w nasze serca.

* * *

Lecz oto zmieniła się sytuacja. Wojska polskie odstępowały pospiesznie, Czerwona Armia parła na Warszawę.

Przygnębienie ogarnęło najdzielniejszych. Niemcy tryumfowali.

Placówki komitetów polskich były raz po raz atakowane przez bojówki niemieckie.

Wojska alianckie otoczyły je zagrodami drutów kolczastych, że wyglądały jak twierdze. Nikt już z poza tych odrutowanych wyjrzeć nie ważył się na świat, gdyż groziło mu pobicie lub śmierć.

W takich warunkach miała się wyrazić swobodna wola ludu!

Bronisław Kretowicz.

JAN BARANOWICZ
ŁĄKA
SKOWRONKÓW
*
KATOWICE 1948
NAKŁADEM ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ ŚLĄSKI

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny **WILHELM SZEWCZYK.** *Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.*
R 019579